

**RUDYARD  
KIPLING**

DRUGA KSIĘGA  
DŻUNGLI

# Rudyard Joseph Kipling

## Druga księga dżungli

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23534170](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23534170)*

*Druga księga dżungli:*

### **Аннотация**

Druga księga dżungli to drugi zbiór luźno powiązanych opowiadań dotyczących życia Mowgliego w dżungli, wśród zwierząt. Przedstawiona jest nie tylko codzienność chłopca wychowywanego w dżungli, lecz także wiele problemów moralnych przeniesionych na relacje zwierząt. Opowiadania pozwalają dostrzec w zwierzętach wrażliwe istoty. Podobnie jak ludzie, budują więzi społeczne, posiadają uczucia i zasady, wedle których żyją. Druga księga dżungli to powieść autorstwa angielskiego pisarza Rudyarda Kiplinga, wydana w 1895 roku. Kipling zastąpił przede wszystkim jako autor pierwszego zbioru opowiadań, zatytułowanego Księgi dżungli, jego twórczość była kierowana głównie do młodzieży.

# Содержание

Skąd się wziął strach	4
Prawo Dżungli	34
Cud Purun Bhagata	38
Pieśń Kabira	63
Najazd dżungli	64
Конец ознакомительного фрагмента.	83

# Rudyard Kipling

## Druga księga dżungli

### Skąd się wziął strach

*Kałuże wyschły – stan wody spadł —  
więc żyjem z sobą za pan brat!  
Z pyłem na sierści i z ogniem w paszczy  
tłoczmy się wśród nadbrzeżnych chaszczy.  
Wśród lęku, spieki, ani nam w głowach  
choćby przelotna myśl o łowach!  
Sarniąt nie płoszy burymi kudły  
wilk – jako one trwożny, wychudły;  
łania też śmiało spogląda nań,  
choć on jej ojcu przegryzł krtani!...  
Kałuże wyschły – stan wody spadł  
bawmyż się z sobą za pan brat!  
O łowach nawet marzyć nie śmiejmy,  
zanim deszcz splucze wszelkie rozejmy!*

Prawo Dżungli – które jest chyba najstarszym prawem w świecie – uwzględnia i przewiduje niemal wszystkie przypadki, jakie się zdarzyć mogą Plemionom Leśnym, a czas i praktyka uczyniły zeń wprost wzór doskonałości, prawdziwe zwierciadło ustawodawstwa. Kto czytał poprzednie opowieści o Mowglim, ten wie, że chłopak spędził znaczną

część życia w Wilczej Gromadzie Seeoneeńskiej, pobierając od brunatnego niedźwiedzia Baloo naukę Prawa. Otóż ilekroć Mowgli niecierpliwił się i nudził słuchaniem ciągłych nakazów, Baloo wyjaśniał mu, że Prawo jest podobne do olbrzymiego pnącza, gdyż okręca się każdemu dokoła grzbietu i nikt nie potrafi zeń się wywikłać.

– Gdy pożyjesz tak długo jak ja, Mały Braciszku, przekonasz się ku wielkiej swej zgryzocie, że cała dżungla podlega jednemu Prawu. Nie wiem, jak ci się wówczas spodoba ten widok.

Tak mawiał Baloo – ale te słowa wchodziły jednym uchem, a wychodziły drugim, boć młokos, którego całą troską jest myśl o jedzeniu i spaniu, nie zwykł przejmować się niczym, chyba że mu już bieda całkiem otwarcie zajrzy w oczy. Nadszedł jednakże w końcu taki rok, kiedy sprawdziły się co do joty przepowiednie starego Baloo – i oto Mowgli obaczył, że cała dżungla we wszystkim, co czyni, trzyma się jednego Prawa.

Zaczęło się od tego, że zimowe deszcze zawiodły niemal zupełnie, a jeżozwierz Ikki, spostrzegłszy się z Mowglim w bambusowych zaroślach<sup>1</sup>, zwierzył mu się, iż dzikie yamy<sup>2</sup> wyschły już do cna. Wiadomo powszechnie, że Ikki jest do śmieszności wybredny w jedzeniu i że bierze do pyska tylko rzeczy co najlepsze i najdojrzalsze. Roześmiał się więc Mowgli,

---

<sup>1</sup> *spozstrzegłszy się z Mowglim w bambusowych zaroślach* – zobaczywszy, że jest z Mowglim w bambusowych zaroślach. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *yam* – słodki ziemniak o białym, różowym lub pomarańczowym mięszu; patat a. batat. [przypis edytorski]

słyszając jego zrządzenie, i odburknął:

– A cóż to mnie może obchodzić?

– Na razie wolno ci drwić sobie z tego – odpowiedział Ikki, szeleszcząc kolcami oschle i nieprzyjemnie – ale zobaczymy, jaką minę będziesz miał niezadługo. A zresztą, gdy chodzi i o chwilę obecną... czy potrafiłbyś, Mały Bracie, dać nura w głęboką roztokę koło siedliska pszczoł skalnych?

– Skądże znowu? Głupia woda kędyś<sup>3</sup> wyciekła, a ja nie pragnę rozbijać sobie głowy o kamienie na dnie! – odhuknął Mowgli przekonany, że ma w tej głowie więcej oleju niż pięciu razem wziętych mieszkańców puszczy.

– Szkoda! Przydałby ci się w łepiecie mały otwór, by przezeń naciekła choć odrobina mądrości! – dociął mu Ikki i czym prędzej zaszył się w gęstwinie, nie chcąc, by go chłopak wytarmosił za szczeciniaste wąsy.

Mowgli natychmiast powtórzył swemu nauczycielowi wszystko, co był opowiadał<sup>4</sup> jeżozwierz. Baloo sposepniał i mruknął jakby sam do siebie:

– Gdyby tu szło tylko o mnie, już bym teraz zmienił łowisko, zanim inni o tym samym pomyślą. Atoli<sup>5</sup> łowy wśród obcych zawsze kończą się zwadą... a moje Człowieczątko mogłoby

---

<sup>3</sup> *kędyś* – gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *co był opowiadał* – daw. czas zaprzeszły; dziś tylko: opowiadał (wcześniej). [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *atoli* – chociaż, a jednak; daw. spójnik wyrażający przeciwieństwo, kontrast. [przypis edytorski]

przy tym oberwać jakiego guza. Zaczekajmy jeszcze trochę i zobaczymy, jakim kwiatem zakwitnie mohwa<sup>6</sup>.

Wkrótce nastąpiła wiosna – atoli drzewo mohwa, które Baloo tak ukochał, nie zakwitło wcale. Zielonawe, żółto nakrapiane woszczyste pąki powędły od gorąca, a gdy Baloo, stanąwszy na dwóch łapach, potrząsnął drzewem, na ziemię spadło zaledwie parę płatków o niemiłej woni.

Ale to był dopiero początek. Później było znacznie gorzej. Skwar niepohamowany jął wdzierać się piędź za piędź w sam matecznik dżungli, zmieniając jej zieleń w barwę żółtą, następnie brunatną, wreszcie czarną. Zioła i krzewy, rosnące na zboczach parowów, wypaliły się doszczętnie, przeobraziwszy się w kłębowisko połamanych badyli i obwisającego martwo prętowia. Jeziorka ukryte w leśnej gąszczu skurczyły się i zgęstniały, a najłżejszy ślad stopy na ich brzegu utrwałał się tak wyraziście, jak gdyby był odlany w żelazie. Dzikie pnącza, zazwyczaj jędrne i soczyste, teraz traciły swą giętkość i prężność, sztywniały i odrywały się od pni drzewnych, zamierając na ścielisku leśnego podszycia; poschnięte bambusy sterczały beznadziejnie, chrzęszcząc za każdym podmuchem gorącego wiatru, a mech odpadał ze skał utajonych w głębi puszczy, tak iż stały ogołoczone i rozpalone jak migotliwe, sinawe głązy w łożysku rzeki.

---

<sup>6</sup> *mohwa* – rodzaj drzewa wiecznie zielonego, rosnącego na obszarach subtropikalnej Azji (Indie, Nepal, Birma, Sri Lanka), o jadalnych kwiatach i owocach oraz nasionach wykorzystywanych do produkcji oleju; także: *madhuca longifolia*. [przypis edytorski]

Ptactwo oraz Małpie Plemię, widząc, na co się zanosi, z początkiem roku powędrowały na północ; zaś jelenie i dziki zapędzały się daleko na zniszczone posuchą niwy wiejskie, ginąc częstokroć przed oczyma ludzi, którzy byli tak wycieńczeni, iż nie myśleli wcale o urządzaniu polowań. Ścierwnik Chil trzymał się tego, a nawet utył, bo miał pod dostatkiem padliny; co wieczór znosił zwierzętom zbyt osłabionym, by mogły wyprawić się na nowe łowiska, wieści o tym, że słońce szerzy rzeź w całej dżungli na obszarze, jaki zasięgnąć można przez trzy dni lotu.

Mowgli, który dotąd nie zaznał prawdziwego głodu, musiał teraz poprzestać na starym trzyletnim miodzie, wyskrobanym z opuszczonych ulów skalnych – czarnym jak owoce tarniny i okrytym warstwą skruszałej patoki<sup>7</sup>. Łowił też czerwie owadów ryjących korę drzewną i zabierał osom ich gąsieniczki. Na zwierzynie w kniei pozostała jedynie skóra i kości, tak iż pantera Bagheera nigdy nie bywała syta, choćby jej się udało trzy razy w ciągu nocy upolować zdobycz. Najwięcej jednak dawał się we znaki brak wody, bo Plemiona Dżungli piją wprawdzie rzadko, ale gdy piją – muszą się ożłopać obficie.

A posucha posuwała się wciąż dalej i dalej, spijając wszelką wilgoć, aż w końcu macierzysty nurt Wajngangi zamienił się w strumień przeciekający nikłym pasemkiem wody przez zamarte wydmy piaszczyste. Gdy dziki słoń Hathi, który żyje sto lat i więcej, ujrzał długi, wąski pas sinej opoki<sup>8</sup>, wyłaniający się

---

<sup>7</sup> *patoka* – płynny miód pszczeli. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *opoka* – skała. [przypis edytorski]

na samym środku rzecznej koryta, pojął od razu, że spogląda na Skalę Pokoju. Wówczas zadarł do góry trąbę i ogłosił hasło Wodnego Rozejmu, podobnie jak to przed pół wiekiem uczynił jego ojciec. Hasło to niezwłocznie podjęły jelenie, dziki i bawoły, grmiąc chrapliwymi głosy<sup>9</sup>, a ścierwnik<sup>10</sup> Chil jął<sup>11</sup> zataczać w powietrzu olbrzymie kręgi, pogwizdując i rzucając ostrzegawcze krzyki.

Prawo Dżungli karze śmiercią każdego, kto by ośmielił się polować koło wodopojów z chwilą ogłoszenia Wodnego Rozejmu. Powód leży w tym, że picie jest ważniejszą rzeczą niż jedło. Gdy zabraknie zwierzyny, każdy z mieszkańców dżungli potrafi jeszcze jakoś przetrzymać biedę; ale co woda, to woda, obejść się bez niej niepodobna! Więc gdy pozostanie jedno tylko jej źródłisko, ustają wszelkie łowy i wszystko, co żyje w dżungli, śpieszy tam, by ugasić pragnienie. Za lat szczęśliwych, gdy wody było pod dostatkiem, zwierzęta nieraz na szwank wystawiały<sup>12</sup> swe życie, śpiesząc po ten napój ku brzegom Wajngangi lub ku innym strumieniom; jednakże to niebezpieczeństwo jeno<sup>13</sup> dodawało uroku nocnym przedsięwzięciom. Rozkosz to była prawdziwa skradać się tak zrećnie, by nie potraćić nawet

---

<sup>9</sup> *grmiąc chrapliwymi głosy* – dziś: grmiąc chrapliwymi głosami. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *ścierwnik* – rodzaj ptaka padlinożernego zamieszkującego Azję i Afrykę; w innym tłumaczeniu: sęp. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *jąć* – zacząć; *jął zataczać*: zaczął zataczać. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *wystawiać na szwank* – narażać. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *jeno* – tylko. [przypis edytorski]

najdrobniejszego listka – brnąć po kolana w huczących wodnych odmiałach, przygłuszających wszelkie szmery na tyłach – pić, oglądając się poza siebie i trzymając każdy mięsień w gotowości rozpaczliwej do skoku za pierwszym odruchem trwogi – tarzać się po piaskowych usypiskach i powracać z mokrym pyskiem i napęczniałym od wody bandziochem do stada stojącego opodal w niemym podziwieniu. Szczególne upodobanie w tym znajdowały młode kozły o rogach błyszczących – i to właśnie dlatego, że wiedziały, iż lada chwila może im skoczyć na kark Shere Khan lub Bagheera i rozszarpać je w kawałki. Teraz jednak skończyła się ta gra na śmierć i życie, a wygłodniałe i trudem zmęczone Plemiona Dżungli – tygrysy, niedźwiedzie, jelenie, dziki i bawoły – wlokły się wspólnie ku zmalełej rzece, piły stęchlą wodę i sterczały ponad nią, zbyt osłabione, by odejść w inne miejsce.

Jelenie i dziki dreptały bezradnie przez dzień cały, szukając pożywienia, które by było strawniejsze niż zeschnięta kora i zeschnięte liście. Bawołom zabrakło bajor, w których dawniej się chłodziły, nie miały też gdzie spasać zielonych zasiewów. Wężę wypęły z gąszczy leśnej i wlokły się ku rzece, łudząc się nadzieją, że uda się im pochwycić choćby zbląkaną żabę; okręcały się dokoła wilgotnych kamieni i leżały w bezruchu, nie gotując się do ciosu nawet wtedy, gdy poszukujący korzonków odyniec wyrzucał je bezceremonialnie z miejsca swym ryjem. Żółwie rzeczne dawno już wymordowała mistrzyni łowów, pantera Bagheera, a ryby pochowały się głęboko w splekanym mule. Wśród płytkich

odmiałów widniała jedynie Skała Pokoju, podobna do długiego węża, a drobne, ociążałe wodne rozbryzgi syczały za każdym muśnięciem jej rozpalonych boków.

Tam to przebywał nocą Mowgli, szukając towarzystwa i ochłody. Nawet najbardziej wygłodniałi jego nieprzyjaciele nie zwróciliby nań w taką chwilę najmniejszej uwagi; nieowłosiona skóra sprawiała, że wyglądał nędzniej i mizerniej od wszystkich towarzyszków niedoli. Włos mu wyblakł od słońca jak lniane paczesie<sup>14</sup>, żebra uwydatniały się silnie jak pręty koszyka, a zgrubienia na kolanach i łokciach, powstałe wskutek czołgania się na czworakach, nadawały jego kończynom wygląd kłaczastych badyli; jedynie oczy spod zwichrzonej czupryny spoglądały chłodno i spokojnie, gdyż pantera Bagheera, jako jego przyboczny doradca w onych ciężkich chwilach, zaleciła mu, by poruszał się spokojnie, polował bez pośpiechu, przede wszystkim zaś nie unosił się gniewem, choćby nie wiedzieć z jak słusznego powodu.

– Złe nastały czasy – odezwała się Czarna Pantera w pewien wieczór, gdy na całym świecie było gorąco jak w piecu piekarskim. – Ale kiedyś to przeminie... bylebyśmy tylko dotrwali do końca. Czy aby masz pełny żołądek, moje Człeczątko?

– Mam coś niecoś w żołądku, ale niewielki mi z tego pożytek. Jak myślisz, Bagheero, czy deszcze zapomniały o nas i nigdy już do nas nie przyjdą?

---

<sup>14</sup> *paczesie* – delikatne włókna lnu a. konopi. [przypis edytorski]

– Nie mam tak czarnych myśli. Zobaczymy jeszcze mohwę obsypaną kwieciami oraz młode sarniuki wypasione świeżą trawą. Zejdźmy ku Skale Pokoju i posłuchajmy nowin. Hops, na mój grzbiet, Mały Bracie!

– E, teraz nie czas na noszenie ciężarów. Potrafię jeszcze stać o własnej sile, ale... dalibóg, że oboje jesteśmy nie bardzo podobni do tuczonych bawołów.

Bagheera obejrzała swe wyszargane, kurzem pokryte boki i szepnęła:

– Zeszłej nocy ubiłam wołu w jarzmie. Tak już nisko upadłam, że nie odważyłabym się skoczyć na niego, gdyby był wolny. Hu-u!

Mowgli roześmiał się.

– Nie ma co mówić, tędy z nas teraz myśliwi! Ja zdobywam się na tę odwagę... iż zjadam gaśienice!

Przedzierając się przez trzeszczące, suche krzaki, dowlekli się we dwójkę do brzegu rzeki, od którego, na kształt koronkowej robótki, snuły się na wszystkie strony pasmami łachy wodne i wstążki nędznych poników<sup>15</sup>.

– Nie na długo starczy tej wody! – odezwał się Baloo, który spotkał ich w drodze. – Patrzcie no tylko! Ot tam widać całe szlaki, podobne do ludzkich gościńców.

Na płaskim brzegu przeciwległym twarda trawa leśna już dawno wyschła i stężała w martwym bezruchu. Tę bezbarwną równinę przerzynały w pewnych odstępach szerokie szlaki,

---

<sup>15</sup> *ponik* – strumyk. [przypis edytorski]

wydeptane i ubite racicami dzików i jeleni, a zmierzające zawsze w stronę rzeki; wśród wysokiego na dziesięć stóp łąnu oczeretów<sup>16</sup> wydawały się jakby przekopami sączącymi nie wodę, lecz kurzawę. Godzina była wczesna – mimo to każdy z tych gościńców roił się od rychłych przechodniów śpieszących ku rzece. Już z dala słyhać było pokaszliwanie łań i jelonków, krztuszących się kłębami lotnego pyłu.

W górze rzeki, gdzie gnuśna łacha skrętem swym opłukiwała strażniczkę zgody – Skalę Wodnego Rozejmu – stał ze swymi trzema synami dziki słoń Hathi: wychudły, osędziały w księżycowej poświatli<sup>17</sup> – i kołysał się wciąż to w jedną, to w drugą stronę. Nieco poniżej stała przednia straż jeleni; jeszcze poniżej biwakowały dzikie świny i bawoły; na przeciwnym zaś brzegu, gdzie gonne śniaty drzew podchodziły niemal do samego skraju wody, było ustronie przeznaczone dla tygrysów, wilków, lampartów, niedźwiedzi i innych mięsożerców.

– Tak jest! Teraz wszyscy podlegamy jednemu Prawu! – mówiła Bagheera, brodząc po wodzie i spoglądając ku szeregom dzików i jeleni popychających się wzajem, zderzających się rogami i wybałuszających przerażone ślepia. – Szczęśliwych łowów, krewniacy – dodała, wyciągając się całą długością ciała, przy czym jednak jeden bok wynurzał się z płytkiej wody. – Gdyby nie przepisy Prawa, można by tu mieć doprawdy łowy

---

<sup>16</sup> *oczeret* – kłączowe rośliny przybrzeżne, tworzące rodzaj szuwaru. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *poświatla* – dziś: poświata. [przypis edytorski]

bardzo szczęśliwe!

Słowa te wypowiedziała przez zaciśnięte zęby, jednakże strzygące uchem jelenie podchwyciły końcowe zdanie – i przez ich zastępy przeleciał szmer trwogi:

– Rozejm! Rozejm! Pamiętaj o rozejmie!

– Spokój tam, spokój! – wybełkotał dziki słoń Hathi. – Dziś mamy rozejm, Bagheero; nie pora gawędzić o łowach!

– Któż o tym wie lepiej ode mnie? – odpowiedziała Bagheera, łypiąc żółtawymi ślepiami w stronę, gdzie stał Hathi. – Przecież żywię się żółwiami... i poławiam żaby. Ngaayah! O, gdybym jeszcze mogła głód zaspokoić przeżuwaniami gałązek.

– O, my byśmy sobie tego bardzo życzyły! – zabeczał młody jelonek, który właśnie na wiosnę przyszedł na świat i był mocno z tego niezadowolony.

Pomimo całej biedy, jaka nawiedziła dżunglę, zwierzęta – nie wyłączając Hathiego – nie mogły powstrzymać się od rześistego śmiechu, posłyszawszy te słowa. Mowgli, leżąc na brzuchu w ciepłej wodzie, śmiał się najgłośniej i bił stopami wodę, rozbryzgując kłęb piany.

– Dowcipny jesteś, roczniaku! – mruknęła Bagheera. – Mieć będę w pamięci twe słowa, gdy skończy się okres rozejmu.

I rzuciła bystre spojrzenie w pomroc<sup>18</sup> przedświtową, by w razie potrzeby móc kiedyś rozpoznać owego jelonka.

Od słowa do słowa – i po całej rzece, tak w górnym, jak i w dolnym biegu, rozgwarzono się w najlepsze. Słyszać było, jak

---

<sup>18</sup> *pomroc* – dziś: pomroka. [przypis edytorski]

szamotał się i pochrząkiwał odyniec, rozpychając się, by zdobyć sobie więcej miejsca; jak postękiwały bawoły, brnąc z trudem przez łąwice piaskowe; jak jelenie skarżyły się, iż okrwawiły sobie nogi w bezskutecznych poszukiwaniach paszy. Od czasu do czasu rzucano jakieś pytanie mięsożercom obozującym za rzeką – atoli<sup>19</sup> wszystkie wieści brzmiały smętnie. Od strony dżungli, wśród skał i chrzęszczących gałęzi z hukiem przeciągał gorący dech wiatru, sypiąc na wodę kurz i ułamki badyli.

– Ludzie też giną – ogłaszał młody sambhur. – Padają przy orce. Wczoraj po zachodzie słońca natknąłem się na trzy ludzkie trupy. Leżały bez ruchu, a przy nich nieżywe woły. Maluczko, maluczko, a i nas czeka los podobny.

– Rzeka bardzo opadła od nocy ubiegłej! – stwierdził Baloo. – Hathi, czy widziałeś kiedy taką suszę?

– E, to przejdzie, to przejdzie! – odparł Hathi, spryskując siebie wodą grzbiet i boki.

– W naszym gronie jest stworzenie, które nie potrafi długo znosić tej spiekoty – rzekł Baloo, spoglądając na ukochanego chłopaka.

– Może ja? – obruszył się Mowgli, siadając w wodzie. – Prawda, że nie mam futra, by okryć gnaty, ale... gdyby z ciebie, Baloo, ściągnąć skórę...

Hathi drgnął na samą myśl o czymś podobnym, a Baloo odezwał się tonem surowym:

---

<sup>19</sup> *atoli* – lecz, jednak; daw. spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast. [przypis edytorski]

– Szczeniaku Ludzki! Nie godzi się mówić w ten sposób o swym nauczycielu Prawa. Odkąd żyję na tym świecie, jeszcze mnie nie widziano bez sierści.

– Dalibóg, nie chciałem cię urazić, mój Baloo. Przyszło mi tylko na myśl, że ty jesteś podobny do orzecha kokosowego w łupinie, ja zaś do takiego orzecha już wyłuskanego. Otóż ta twoja brunatna łupina...

Mówiąc to, Mowgli siedział w kucki i według swego obyczaju podkreślał gestami palca wskazującego rzecz każdą. Naraz w powietrzu śmignęła puszysta łapa Bagheery i przewróciła go na wznak w wodę.

– Coraz to gorzej! – odezwała się Czarna Pantera, gdy chłopak wstał, mamrocząc coś pod nosem. – Najpierw chciałeś swojego mistrza obłupić ze skóry, a teraz jeszcze wymyślasz mu od kokosów! Uważaj jednak, bo on może z tobą postąpić tak jak kokos, gdy dojrzeje!

– Cóż on może mi zrobić? – zapytał Mowgli, zapominając na chwilę o wszelkich środkach ostrożności, mimo że miał do czynienia z jednym z najbardziej oklepanych żartów spotykanych w dżungli.

– Nabije ci guza! – odpowiedziała spokojnie Bagheera, strącając go powtórnie w wodę.

– Nie powinieneś stroić żartów ze swego nauczyciela! – odezwał się niedźwiedź, gdy Mowgli dał nurka po raz trzeci.

– Nie powinien! – odezwał się naraz głos jakiś groźny. – I cóż! Ten nagus hasa sobie, gdzie mu się podoba, płata małpie psoty

tym, którzy niegdyś byli tęgimi myśliwcami i pozwalała sobie dla płochej zabawy targać najlepszych z nas za wąsy!

Był to Shere Khan, Tygrys Kuternoga, który właśnie ociężałym krokiem przywłókł się nad rzekę. Przystanął na chwilę, by napawać się wrażeniem sprawionym pomiędzy stadem jeleni na przeciwnym brzegu, potem zaś spuścił kanciasty, nastroszony łeb i zaczął żłopać wodę, mrużąc przy tym:

– Dżungla zamieniła się w wylęgarnię nieowłosionych szczeniąt... Spójrz no na mnie, Ludzki Szczeniaku!

Mowgli spojrział – a raczej wytrzeszczył oczy z całą zuchwałością, na jaką stać go było. Po niedługiej chwili Shere Khan odwrócił się z niechęcią.

– Ludzkie Szczenię tu, Ludzkie Szczenię tam! – zrzędził pod nosem, zabierając się znów do picia. – Ani to człowiek, ani szczenię... nie boi się wcale! Jeżeli tak pójdzie dalej, to za parę miesięcy będę musiał prosić tego berbecia, żeby pozwolił mi się napić. Uu-a!

– Może dojść i do tego! – potwierdziła Bagheera, patrząc nań uporczywie spod oka. – Tak, może dojść i do tego!... A fe, Shere Khanie! Jakąż to nową zakałę zawlokłeś w nasze grono?

Z zanurzonej w wodę szczęki Kulasa sphywała jakaś czarna maź, snująca się pasmami po powierzchni rzeki.

– To krew Człowieka! – odrzekł Shere Khan najspokojniej w świecie. – Zabiłem go przed godziną.

I zaczął znów mrużać i zrzędzić pod nosem.

Drgnęły i zakółsały się zwierzęce zastępy; przebiegł po nich szept, który spotężniał w ogromne wołanie:

– Krew Człowieka! Krew Człowieka! Kulas zabił Człowieka!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę, gdzie się znajdował dziki słoń Hathi – ale on stał nieporuszony, jakby nic nie słyszał. Hathi nigdy niczego nie przedsięwzięje, póki nie nadejdzie odpowiednia pora; jest to jeden z powodów jego długowieczności.

– Jakże można zabijać Człowieka w czasach tak strasznych jak obecne! Czyż nie miałaś innej zwierzyny? – zadrwiła Bagheera, wyłaząc ze splugawionej wody i otrzepując, wedle kociego obyczaju, każdą łapę z osobna.

– Polowałem dla przyjemności, nie z głodu! – odburknął Kulas.

Znów się podniósł szept zgrozy, a Hathi łypnął w stronę Shere Khana białkami swych małych, czujnych oczu.

– Dla przyjemności – wycedził Shere Khan. – A teraz przychodzę napić się i umyć. Któż może mi tego zabronić?

Grzbiet Bagheery zaczął giąć się i prężyć jak trzcina bambusowa na silnym wicherze, w tejże jednak chwili Hathi wznosił trąbę i przemówił spokojnie:

– Polowałeś dla przyjemności?

Gdy Hathi zapytuje, nie ma co zwlekać z odpowiedzią, toteż Shere Khan odezwał się tonem ugrzecznionym:

– Nie inaczej. Moja to była noc i mój przywilej. Wiesz przecież o tym, Hathi.

– Owszem, wiem – odpowiedział Hathi, a po chwili dodał: –

Czy napiłeś się do syta?

– Tak, na dziś mi wystarczy.

– W takim razie oddał się stąd. Rzeka jest na to, by z niej pić, a nie na to, by ją brudzić. Prócz Kulawego Tygrysa nikt nie zdobyłby się na to, by przechwalać się swym przywilejem, gdy ludzie na równi z Plemionami Dżungli cierpią biedę. Ale czyś czysty, czy nieczysty – wracaj na swe leże<sup>20</sup>, Shere Khanie!

Ostatnie słowa brzmiały jak głos srebrnych trąb. Na to hasło trzej synowie Hathiego postąpili pół kroku naprzód – zgoła bez potrzeby zresztą; w tejże bowiem chwili Shere Khan dał drapaką, nie śmiejąc choćby jednym mruknięciem wyrazić swego niezadowolenia. Wiedział dobrze – i nie on tylko jeden że ostatecznie Hathi jest przecież najwyższym dygnitarzem całej dżungli.

– O jakim to przywileju wspominał Shere Khan? – szepnął Mowgli w ucho Bagheerze. – Wszak Prawo Dżungli głosi, że zabijanie Człowieka jest zawsze czynem hańbiącym. A jednak Hathi powiada...

– Spytaj go sam o to, Mały Bracie! Ja nie potrafię ci na to odpowiedzieć. Zresztą cóż mnie obchodzą jego przywileje! Gdyby Hathi nie wdał się w tę sprawę, dałabym ja temu kulawemu rzeźnikowi tęgą naukę! Przychodzić do Skąty Pokoju tuż po zamordowaniu Człowieka... i jeszcze przechwalać się tym zabójstwem... to zaiste postępek godny szakala! Nie

---

<sup>20</sup> *leże* – legowisko, schronienie. [przypis edytorski]

mówię już o tym, że nam ten łotr zanieczyścił wodę!

Ponieważ nikt jakoś nie zwracał się wprost do Hathiego z owym pytaniem, przeto Mowgli po chwili namysłu zdobył się w końcu na odwagę i zawołał:

– Jakimże to przywilejem szczyci się Shere Khan? Powiedz nam, o Hathi!

Oba brzegi odkrzyknęły te słowa, boć wszystkie<sup>21</sup> Plemiona Dżungli są niebywale ciekawe – a oto były świadkami czegoś takiego, czego nikt nie rozumiał... co najwyżej tylko jeden Baloo, który właśnie zamyślił się głęboko.

– Stare to dzieje – odrzekł Hathi – starsze niżli sama dżungla. Uciszyć mi się tam na brzegach, to wam opowiem!

Dziki i bawoły szturchały się jeszcze i trykały przez dłuższą chwilę, ale już się w tę sprawę wmieszali przodownicy trzód, oznajmiając kolejno:

– Czekamy! Czekamy!

Hathi ruszył naprzód, stanął po kolana w wodzie przed samą Skałą Pokoju. Był chudy, pomarszczony, a kły dawno mu pożółkły – mimo to wyglądał istotnie na Władcę Dżungli.

– Wiadomo wam, moje dzieci – przemówił – że ze wszystkiego, co żyje na ziemi, największym strachem przejmuje was Człowiek.

Szmer potakiwania był odpowiedzią na jego słowa.

– Ta opowieść ciebie dotyczy, Mały Bracie – rzekła półgębkiem do Mowgliego Bagheera.

---

<sup>21</sup> *boć wszystkie* (daw.) – bo choć wszystkie. [przypis edytorski]

– Mnie? – zachnął się Mowgli. – Należę przecież do wilczej drużyny... jestem myśliwcem Wolnego Plemienia! Cóż łączy mnie z ludźmi?

– Ale pewno nie wiecie, co jest przyczyną waszej bojaźni? – ciągnął dalej Hathi. – Oto jaka jest przyczyna. W początkach istnienia dżungli (nikt nie wie, jak dawno to było) Plemiona Dżungli chodziły pospołu, nie żywiąc obaw wzajemnych. W owych to czasach nie bywało posuchy; na drzewach nigdy nie brakło liści, kwiatów i owoców, a zwierzęta nie żywiły się niczym, jak tylko liśćmi, kwiatami, trawą, korą i owocami.

– Jakże się cieszę, że nie było mnie wówczas na świecie – zauważyła Bagheera. – Kora to rzecz dobra jedynie do ostrzenia pazurów.

– Władcą Dżungli był naówczas Tha, praojciec Słoni. On to trąbą swą wydobyl dżunglę z wód głębokich; tam, gdzie kłami swymi poczynał bruzdy w ziemi, popłynęły rzeki, gdzie zasię<sup>22</sup> stąpił<sup>23</sup> nogą, tworzyły się stawy pełne wybornej wody, a gdy zaryczał na trąbie – o tak, jak ja w tej chwili – drzewa waliły się pokotem. W ten sposób Tha stworzył dżunglę i w ten sposób opowiedziano mi tę legendę.

– Nie schudła ona na pewno w opowiadaniu – szepnęła Bagheera, a Mowgli począł się śmiać, zakrywszy twarz dłonią.

– W owym to czasie nie było ani zboża, ani melonów, ani pieprzu, ani trzciny cukrowej, nie było też owych małych

---

<sup>22</sup> *zasię* (daw.) – dziś: zaś. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *stąpić* (daw.) – dziś: postąpić a. stąpnąć. [przypis edytorski]

chatynek, które nam wszystkim tak dobrze są znane. Plemiona Dżungli wcale nie wiedziały o istnieniu Człowieka i żyły społec<sup>24</sup>, tworząc jedną gromadę.

Ale w czas jakiś zaczęły kłócić się o jado, mimo że paszy było w bród dla wszystkich. Ot, po prostu rozleniwiły się; każdy chciał mieć żer tuż pod nosem, nie ruszając się z miejsca, jak to czasem i nam się przytrafia, gdy na wiosnę spadną obfite deszcze. Tha, praojciec Słoni, był naówczas zajęty tworzeniem nowych dżungli i wprowadzaniem strumieni w łożyska. Ponieważ nie mógł przebywać wszędzie, przeto mianował Pierwszego z Tygrysów wielkorządcą i sędzią dżungli i zalecił, by Plemiona Dżungli zwracały się do niego ze swymi sprawami spornymi i zażaleniami. W owych błogich czasach praojciec Tygrysów żywił się, jak inne stworzenia, trawą i owocami. Był on tego wzrostu co ja, odznaczał się wielką urodą, a barwa jego sierści przypominała kwiat żółtych powojów. Na całym jego ciele nie było ani jednego pasma, ani pręgi. Wszystkie Plemiona Dżungli stawały przed nim bez trwogi, a jego słowo było Prawem dla całej dżungli. Pamiętajcie, że byliśmy wówczas jednym plemieniem. Atoli pewnej nocy powstała pomiędzy dwoma kozłami zwada – ot, taki sam spór o paszę, jaki teraz zwykliśmy rozstrzygać za pomocą przednich odnóży i rogów – a gdy się prawowały z sobą wobec tygrysa, wylegującego się na kwiecistej łące, zdarzyło się (jak opowiadają), że jeden z nich trącił go nieostrożnie rogami. Wówczas Pierwszy z Tygrysów

---

<sup>24</sup> *spotem* – razem. [przypis edytorski]

zapomniawszy, że jest namiestnikiem i sędzią dżungli, rzucił się na winowajcę i położył go trupem.

Do owej nocy nie wiedzieliśmy jeszcze, co to śmierć, przeto Pierwszy z Tygrysów widząc, co uczynił, i odurzony zapachem krwi, zbiegł na trzęsawiska w kraju północnym, a Plemiona Dżungli, zdane na własny rozsądek (czy nierozsądek), jeły żreć się i walczyć między sobą. Posłyszał Tha wrzawę tej walki i wrócił co rychlej. Zwierzęta starały się go zagadać, mówiąc o tym i o wym, atoli on dostrzegł nieżywego kozła, leżącego w trawie, i nuże pytać o zabójcę. Nikt jednak nie odpowiedział, bo zapach krwi oszołomił i oszalecił<sup>25</sup> wszystkie zwierzęta, jak to się dzieje i dzisiaj w podobnym wypadku; kto żyw, biegał tam i sam, jak w kołowaciźnie, potrząsał łbem, fikał kozły i krzyczał przeraźliwie. Tha, nie mogąc doczekać się odpowiedzi, wydał rozkaz obwisłym krzewom i przyziemnym pnączom, by napiętnowały onego kozłobójcę, tak iżby mógł go rozpoznać. I spytał wielki Tha: „Kto będzie teraz władcą Plemion Dżungli?”. Szara Małpa, żyjąca wśród konarów, skoczyła ku niemu i zawołała: „Ja teraz będę panią dżungli!”. Tha ryknął śmiechem, ale odrzekł: „Niech się stanie zadość twej woli!” – i odszedł, wielce zagniewany.

Dzieci, wszak wszystkie znacie Szarą Małpę. W owym czasie była ona taka sama jak dzisiaj. Zrazu stroiła mądre miny, ale niebawem zaczęła się iskać, hasać po drzewach, skakać to w dół, to do góry – a gdy Tha powrócił, ujrzał Szarą Małpę

---

<sup>25</sup> *oszalenić* – doprowadzić do szaleństwa. [przypis edytorski]

wiszącą łbem w dół na gałęzi i wykrzywiającą się do stojących w dole swych podwładnych; ma się rozumieć, że i podwładni nie zostawiali jej dłużni, toteż w dżungli nie było ładu ani Prawa. Jeden w drugiego plół same androny; niedorzecznościom i głupocie nie było końca.

Wówczas Tha zawołał wszystkie stworzenia i rzekł: „Pierwszy z waszych rządców ściągnął na dżunglę Śmierć, drugi zaś Sromotę<sup>26</sup>. Czas, byście otrzymali Prawo – i to takie Prawo, którego nikt z was nie zdoła przełamać. Przeto poznacie Strach, gdy zaś go obaczycie, poznacie, iż on jest waszym panem... Reszta już nie od was zależy”. Zwierzęta jęły pytać: „Co to jest Strach?”. A Tha odrzekł: „Szukajcie, a znajdziecie”. Poszły więc zwierzęta i jęły przetrząsać całą dżunglę, nie mogły jednak znaleźć Strachu. Aż dopiero bawoły...

– My-y – zaryczał Mysa, stadnik bawołów, podnosząc łeb znad ławicy piaskowej.

– Tak, Myso, bawoły! – potwierdził Hathi. – Przybyły z wiadomością, że w jednej jaskini wśród puszczy mieszka Strach... tak, Strach, straszidło nieowłosione, chodzące na dwóch nogach! Plemiona Dżungli, poruszone tą wieścią, poszły za stadem bawolim i dotarły do owej jaskini. U wniścia jaskini stał istotnie Strach... Był nieowłosiony – jak go opisały bawoły – i chodził na dwóch nogach. Gdy ujrział zwierzęta, krzyknął przeraźliwie, a głos jego nappełnił nas strachem, który nam pozostał po dziś dzień. Zwierzęta poczęły uciekać, tratując się

---

<sup>26</sup> sromota (daw.) – wstyd, hańba. [przypis edytorski]

i rozdzierając wzajemnie w popłochu. W ową noc, jak mi opowiadano, mieszkańcy dżungli nie leżeli pospołu, jak to było dotąd ich obyczajem, ale każdy szczep obrał sobie oddzielne legowisko: dziki z dzikami, jelenie z jeleniami – rogi przy rogach – racica przy racicy słowem: swój do swego.

Tak drząc i dygocąc ze strachu, zwierzęta przeleżały noc całą. Jedyne praojca Tygrysów nie było pomiędzy nimi; wciąż bowiem ukrywał się wśród trzęsawisk na północy. Gdy dotarła do niego wieść o Istocie, którą zwierzęta widziały w jaskini, powiedział sobie: „Pójdę tam i ukreczę kark tej Istocie”. Biegł więc przez całą noc, póki nie dotarł do jaskini. Atoli znajdujące się po drodze krzewy i pnącza, pomne rozkazu wydanego przez Tha, zniżyły swe gałęzie i zaczęły piętnować przebiegającego winowajcę, smagając go swymi prątkami po grzbiecie, bokach, czole i szczękach. Gdziekolwiek go dotknęły, tam pozostawał odcisk lub pręga na jego żółtej skórze. *Takie pręgi są po dziś dzień znamięm jego dzieci.* A gdy podszedł do jaskini, wówczas Bezwłosa Istota – Strach wyciągnął rękę i przezwał go pręgatym<sup>27</sup> nocnym włóczęgą; zaś Pierwszy z Tygrysów przeraził się Bezwłosej Istoty i wśród przeraźliwego wycia zbiegł z powrotem na trzęsawiska.

W tym miejscu Mowgli zachichotał z cicha, pograżywszy podbródek w wodzie. Tymczasem Hathi mówił dalej:

– A wył tak głośno i przeraźliwie, iż usłyszał go Tha i zapytał: „Cóż to cię boli?”. A Pierwszy z Tygrysów, podnosząc

---

<sup>27</sup> *pręgaty* – dziś: pręgowany. [przypis edytorski]

pysk w stronę świeżo stworzonego nieba, które dziś już tak jest wiekowe, odrzekł: „Przywróć mi moc dawną, o Tha! Stałem się pośmiewiskiem całej dżungli! Uciekłem przed Bezwłosą Istotą, a ona obdarzyła mnie hańbiącym przezwiskiem”. „Czemuż to?” – zapytał Tha. „Dlatego, że jestem umazany błotem trzęsawisk” – odrzekł Pierwszy z Tygrysów. „Wykap się więc i wytarżaj w mokrej trawie, a na pewno pozbędziesz się błota” – poradził mu Tha. Pierwszy z Tygrysów począł pływać po rzece i tarzać się po trawie, aż mu cała puszcza zawirowała przed oczyma, jednakże ani jedna pręga nie znikła z jego sierści. Widząc to, Tha śmiał się serdecznie. Wówczas Pierwszy z Tygrysów zapytał: „Cóż ja złego uczyniłem, iż padło na mnie takie nieszczęście?”. Tha odpowiedział: „Zabiłeś kozła i wprowadziłeś do puszczy Śmierć; wraz ze Śmiercią zaś wtargnął tu Strach, a Plemiona Dżungli boją się jedne drugich, podobnie jak ty boisz się Bezwłosej Istoty”. Pierwszy z Tygrysów rzekł na to: „One mnie nie będą się bały, boć znam się<sup>28</sup> z nimi od dawien dawna”. Odrzekł mu Tha: „Idź, przekonaj się”. Wówczas Pierwszy z Tygrysów jął biegać na wszystkie strony, przywołując głośno to jelenie, to dziki, to sambhury, to jeżozwierze, to inne jeszcze Plemiona Dżungli. One jednak uciekały przed swoim byłym sędzią, bo przejmował je strach wielki.

Pierwszy z Tygrysów wrócił jak niepyszny. Bijąc pokornie łbem o ziemię i drapiąc się pazurami, przemówił: „Pamiętaj, że byłem niegdyś zwierzchnikiem dżungli! Nie zapominaj o mnie,

---

<sup>28</sup> *boć znam* (daw.) – po przecież znam. [przypis edytorski]

o Tha! Niechaj dzieci moje pamiętają, że w swoim czasie byłem bez skazy i trwogi!” A Tha odpowiedział: „Uczynię zadość twojej prośbie przez wzgląd na to, że obaj jednocześnie byliśmy świadkami powstawania dżungli. Przez jedną noc każdego roku tobie i twoim dzieciom przysługiwać będą te przywileje, jakimi cieszyłeś się przed zabiciem kozła. Jeżeli w tę noc spotkasz Bezwłosą Istotę (a jej imię jest Człowiek), nie będziesz się jej lękał, owszem, ona będzie bała się ciebie i twoich potomków, jak gdybyście to wy byli sędziami dżungli i panami wszechrzeczy. Okaż się dla niej wspaniałomyślnym w ową noc strachu, boć sam doświadczyłeś<sup>29</sup> na własnej skórze, czym jest Strach”.

Na to odrzekł Pierwszy z Tygrysów: „Zgadzam się na to!”. Atoli wkrótce potem, gdy stanął nad rzeką, by napić się wody, obaczył czarne pręgi na swym grzbiecie i bokach, a przypomniawszy sobie przezwisko, nadane mu przez Bezwłosą Istotę, wpadł w gniew wielki. Rok cały spędził wśród oczeretów, czekając chwili, w której Tha ziści swą obietnicę. I oto pewnej nocy, gdy Szakał Księżycyca (Gwiazda Wieczorna) jaśniał nad dżunglą, Tygrys wyczuł, że nadeszła noc upragniona. Ruszył więc ku wiadomej pieczarze, by spotkać się z Bezwłosą Istotą. Wówczas ziściło się to, co był przyrzekł Tha. Istota Bezwłosa upadła przed Tygrysem i rozciągnęła się na ziemi, zaś Pierwszy z Tygrysów jednym uderzeniem zdruzgotał jej kręgosłup.

---

<sup>29</sup> *boć sam doświadczyłeś* (daw.) – bo przecież sam doświadczyłeś. [przypis edytorski]

Mniemał, iż w dżungli żywie<sup>30</sup> jedna taka istota i że udało mu się zgładzić Strach. Gdy obwąchiwał trupa, naraz posłyszał stąpanie słonia Tha, nadchodzącego z lasów północnych, a wnet potem zabrzmiał mu w uszach głos Pierwszego ze Słoni, który właśnie słyszymy w tej chwili.

Po wyschłych, splekanych wzgórzach przebiegł huk piorunu, ale nie sprowadził za sobą ulewy – jego łyskańce<sup>31</sup>, upału będące oznaką, zamigotały za sobą ich krawędzią. Hathi ciągnął dalej:

– Taki głos on wówczas posłyszał, a głos ten mówił: „Takaż to twoja wspaniałomyślność?”. Pierwszy z Tygrysów oblizał sobie wargi i odrzekł: „O cóż znowu chodzi? Przecież zabiłem Strach!”. A Tha odezwał się: „O nierozumny i ślepy! Zdjąłeś pęta z nóg Śmierci, przeto ona będzie szła twym śladem, póki nie zemrzesz. Tyżeś Człowieka nauczył zabójstwa”.

A Pierwszy z Tygrysów, przystanąwszy nad ubitym Człowiekiem, rzekł: „Toż on taki sam jak ów kozioł. Już po Strachu! Teraz ja będę ponownie sędziował Plemionom Dżungli”. Zasię Tha odpowiedział: „Już nigdy tobie podlegać nie będą Plemiona Dżungli. Nigdy nie przejdą w poprzek twej ścieżki, nie będą spały koło ciebie, nie pójda za tobą ani nie będą się pały w pobliżu twego legowiska. Sam jeno<sup>32</sup> Strach chadzać będzie za tobą i niewidzialnymi ciosy będzie cię zmuszał do służenia jego zachciankom. Za jego sprawą ziemia będzie

---

<sup>30</sup> żywie (daw.) – dziś: żyje. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> łyskańce – błyskawice. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> jeno – tylko. [przypis edytorski]

się rozstępowała pod twymi stopami, pnącza okręcać się będą dokoła twej szyi, a pnie drzew wokoło ciebie wyrosną ścianą tak wysoką, że nie zdołasz jej przeskoczyć. Na domiar wszystkiego złupi on z ciebie skórę i będzie otulał nią swe szczenięta, by uchronić je od chłodu. Nie okazałeś mu litości – i on jej nie okaże względem ciebie”.

Pierwszy z Tygrysów czuł się wielce pewnym siebie, bo jego noc jeszcze się nie skończyła, przeto odparł: „Obietnica, którą złożył Tha, winna go obowiązywać! Chyba nie odbierzesz mi prawa mej nocy?”. A Tha na to: „Noc ta jedyna, jakom powiedział<sup>33</sup>, do ciebie należy – atoli<sup>34</sup> musisz złożyć za nią okup. Oto nauczyłeś Człowieka, jak się zabija, a trzeba ci wiedzieć, że znalazłeś w nim pojętnego ucznia”.

Pierwszy z Tygrysów odrzekł: „Ależ on leży u stóp moich, bom połamał mu żebra! Rozgłoś w dżungli całej, żem zgładził Strach!”. Na to roześmiał się Tha i rzecze: „Zabiłeś jednego z wielu... a wieść tę rozgłaszaj sobie sam, bo noc twoja już się skończyła”.

Zaszarzał<sup>35</sup> dzień i oto z czeluści jaskini wyszła druga Bezwłosa Istota, a ujrawszy Pierwszego Tygrysa nad zwłokami swej ofiary koło wydeptanej ścieżki, ujęła kij z ostrym końcem.

---

<sup>33</sup> *jakom powiedział* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; znaczenie: jak powiedziałem. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *atoli* (daw.) – jednak, ale; spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *zaszarzał* – dziś: zszarzał. [przypis edytorski]

– Oni teraz rzucają czymś takim, co przecina skórę – wtrącił jeżozwierz Ikki, sunąc z chrzęstem po wybrzeżu. Gondowie, którzy zwą jeżozwierza Ho-Igoo, uważają go za wielki przysmak, przeto Ikki wiedział coś niecoś o paskudnych, choć drobnych siekierkach gondyjskich, które fruują niby ważki poprzez leśne uroczyska.

– Był to kół zaostrowy, podobny do tych, jakie oni umieszczają na dnie pułapek – ciągnął dalej Hathi. – Kół taki, rzucony przez Istotę Bezwłosą, utkwiał głęboko w boku tygrysa. Stało się zatem, jako był przepowiedział Tha. Albowiem Pierwszy z Tygrysów jał z wyciem przeraźliwym biegać po całej puszczy, póki na koniec nie udało mu się wyszarpnąć pocisku. Cała puszcza dowiedziała się, że Istota Bezwłosa umie zranić nawet na odległość, przeto zwierzęta ogarnął jeszcze większy strach niż wprzódy. Tak więc doszło do tego, iż Pierwszy z Tygrysów nauczył Bezwłosą Istotę sztuki zabijania – a wiecie wszak, ile stąd spadło na nas szkód i nieszczęść... Komuż nieznane są pętlice, sidła, oklepce, latające kije, kłujące muchy wylatujące z białego dymu (Hathi miał na myśli kule myśliwskie) i Czerwone Kwiecie, które wygania nas z kryjówek? Atoli<sup>36</sup> przez jedną noc w roku Istota Bezwłosa boi się tygrysa, jako przepowiedział Tha, a trzeba przyznać, że tygrys czyni, co w jego mocy, by strach ten uzasadnić i powiększyć. Gdziekolwiek wtedy napotka Bezwłosą Istotę, zabija ją na miejscu, mając w

---

<sup>36</sup> *atoli* (daw.) – jednak; spójnik oznaczający przeciwstawienie, kontrast. [przypis edytorski]

pamięci hańbę, jaką okrył się praojciec Tygrysów. Poza tym jednak Strach krąży wciąż po całej dżungli, zarówno dniem, jak i nocą.

– Ahi! Aco! – ozwały się jelenie, rozmyślając nad nauką moralną płynącą dla nich z tej opowieści. A Hathi ciągnął dalej.

– I jedynie wtedy, gdy ponad wszystkimi zaciąży Wielki Strach, jako w obecnej chwili – jedynie wtedy my, mieszkańcy dżungli, zdolni jesteśmy pozbyć się pomniejszych strachów i zgromadzić się pospólnie, jako teraz, na jednym miejscu.

– Czy tylko przez jedną noc Człowiek boi się tygrysa? – zapytał Mowgli.

– Tak jest, tylko przez jedną noc – potwierdził Hathi.

– No, ale ja... ale i my... ale wszystkie Plemiona Dżungli wiedzą, że Shere Khan zabija ludzi po dwa i trzy razy na miesiąc.

– Prawda. Ale wówczas skacze z tyłu, a uderzając, zwraca w bok głowę, bo przepełniony jest lękiem. Uciekłyby, gdyby zetknął się ze wzrokiem Człowieka. Atoli w swoją noc zachodzi jawnie do osiedli ludzkich, przechadza się pomiędzy domami i wtyka łeb do sieni; ludzie upadają na twarz przed nim, a on wybiera sobie spośród nich zdobycz – jedną tylko zdobycz w ciągu owej nocy.

– Ho, ho! – rzekł Mowgli do siebie, staczając się w wodę. – Teraz już wiem, dlaczego Shere Khan domagał się, bym spojrzał mu w oczy. Nie przyszło mu nic z tego, bo nie potrafił znieść mojego spojrzenia... a ja bynajmniej nie upadłem mu do nóg. Zresztą nie jestem Człowiekiem; zaliczam się przeto do Wolnego

Plemienia.

– Umm! – mruknęła nagle Bagheera z głębi włochatej gardzieli. – Czyż tygrys potrafi rozpoznać swą noc?

– Nie potrafi, póki Szakał Księżyca nie wyłoni się jasno z wieczornej mgły. Noc ta niekiedy przypada podczas skwarów letnich, niekiedy zaś w mokrej porze deszczowej. W każdym razie, gdyby nie Pierwszy z Tygrysów, nie zdarzyłoby się to nigdy, a nikt z nas nie wiedziałby nawet, co to Strach...

Jelenie poczęły chrząkać smutnie, a wargi Bagheery wykrzywiły się złośliwym uśmiechem.

– Czy ludzie znają tę... powiastkę? – zapytała Czarna Pantera.

– Nie zna jej nikt prócz tygrysów i prócz nas, słoni, dziatwy wielkiego Tha. Teraz posłyszeliście ją i wy, którzyście obsiedli<sup>37</sup> kałuże i bajora. Skończyłem!

To rzekłszy, Hathi zanurzył trąbę w wodę na znak, że nie ma ochoty mówić dłużej.

– Ale... ale... ale... – zwrócił się Mowgli do niedźwiedzia Baloo – czemuż to Pierwszy z Tygrysów nie żywił się nadal trawą, liśćmi i gałązkami? Przecież tylko połamał gnaty kozłu, ale go nie pożarł? Cóż to go przywiodło do żywienia się świeżym mięsem?

– Drzewa i pnącza napiętnowały go i zrobiły zeń taką przegatą stworę, jaką teraz widzisz, Mały Braciszku! – odrzekł Baloo. – Odtąd już tygrys nigdy nie chciał kosztować ich owoców, a za to

---

<sup>37</sup> *którzyście obsiedli* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: którzy obsiedliście. [przypis edytorski]

wywierał zemstę na jeleniach i innych zjadaczach trawy.

– Aha, więc ty znasz tę powiastkę? Czemuś nigdy mi jej nie powiedział?

– Dżungla pełna jest takich opowieści, Mały Braciszku. Gdybym raz zaczął, już bym nigdy nie mógł skończyć opowiadania. Zostawisz ty wreszcie moje ucho w spokoju?

# Prawo Dżungli

Ażeby dać wam jakie takie pojęcie o przeogromnej różnorodności Prawa Dżungli, przetłumaczyłem wierszem garść przepisów, odnoszących się do Gromady Wilczej (Baloo wygłaszał je zawsze jakby monotonnym półśpiewem). Przepisów tych, trzeba wam wiedzieć, jest po stokroć i jeszcze raz po stokroć więcej, może jednak wiersze poniższe wystarczą wam jako wzory prostszych prawideł.

Oto jest zbiór Praw Dżungli – jak niebo wieczyste, niemylny.  
Ginie wilk, co je łamie; wilk, co ich słucha, jest szczęśliwy  
i silny.

Jak pnącza, co pień opasują, tak Prawo wkoło nas się winie<sup>38</sup>:  
Bo wilk jest siłą drużyny, a wilka siła – w drużynie.

Pij do syta, lecz w miarę. Kap się codziennie od kity do  
głowy.

A pomnij, że dzień jest od spania, a noc przeznaczona na  
łowy.

Niechaj szakal się łąsi tygrysom! Lecz ty, gdy wyrośniesz, o  
szczenie,

Pamiętaj, że wilk jest łowcą – i sam ma zdobywać jedzenie.

---

<sup>38</sup> *winie* – dziś: *wije*. [przypis edytorski]

Nie kłóć się z kniei<sup>39</sup> władcami: Tygrysem, Niedźwiedziem,  
Lampartem,

Nie drażnij Hathiego, gdy milczy, a dzika w komyszy<sup>40</sup> nie  
obraż złym żartem!

Gdy się spotkają dwa stada i nie chcą sobie ustąpić uprzejmie,  
Leż spokojnie – bo może starszyzna bezkrwawo spór ten  
rozejmie<sup>41</sup>.

Gdy zwaśnisz się z wilkiem z drużyny, sam na sam się bijcie  
we dwójkę,

By złego przykładu nie dawać i nie osłabiać drużyny przez  
bójkę.

Nora jest wilka schronieniem, a gdzie on swój dom ustanowi,  
Nie wolno tam wejść ani Radzie, nawet Drużyny Hersztowi.

Nora jest wilka schronieniem, lecz gdy ją wykopał nazbyt  
widocznie,

Rada mu przyśle przestrozę, ażeby się przeniósł  
niezwłocznie.

Gdyś zaczął łów przed północą, milcz – nie budź lasu  
szczekaniem,

Bo spłoszysz nam wszystką zwierzynę i my bez łupu  
zostaniem.

Poluj dla siebie, dla szceniąt, dla druhów. Krew taka nie

---

<sup>39</sup> *knieja* – las, puszcza. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *komysz* – zarośla, chaszczce, krzaki; zwykle lm: *komysze*. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *rozjąć spór* (daw.) – załagodzić spór; por. *rozejm*. [przypis edytorski]

brudzi!

Lecz bez potrzeby nie poluj! – Po siedemkroć wara polować na ludzi!

Gdy porwiesz zdobycz słabszemu, nie pożryj wszystkiego w próżności.

Nędzarz jest w Prawa opiece – więc zostaw mu skórę i kości!

Zdobycz drużyny ma służyć za jadło całej drużynie.

A kto by tę zdobycz chciał unieść do własnej nory – niech zginie!

Zdobycz wilka jest jego własnością. On rządzi nią prawem wszelakiem;

Lecz póki sam wilk nie pozwoli, drużyna musi obywać się smakiem.

Szczenie, nim rok ukończy, powinno się suto odżywiać.

Gdy ono jadła od kogo zażąda, nie wolno się jemu sprzeciwiać.

Wilczyca ma prawo do leża. Gdy samcom powiodą się łowy, Wolno jej żądać dziesięcin dla wilcząt – i nigdy nie dozna odmowy!

Wilk-ojciec jest panem w swej norze. To wolny myśliwiec – włóczęga!

Sądzi go jeno Rada, a władza drużyny go nie dosięga.

Gdy Prawo jest w czymś niedokładne, szukajcie pomocy w swym Herszcie:

On starszy, mocniejszy i mędrszy – więc jego przepisów się

dzierżcie<sup>42</sup>!

Takie są Prawa Puszczańskie. Wyliczyć je –  
niepodobieństwo!

Lecz sercem Prawa i głową, i kośćcem jest... posłuszeństwo!

---

<sup>42</sup> *dzierżyć* – trzymać. [przypis edytorski]

# Cud Purun Bhagata

*Czując, że ziemia w gruz się wali,  
na pomoc jemu sześliśmy tłumnie  
w noc ową – bośmy go kochali  
świadomie, chociaż nierozumnie.*

*A gdy z łoskotem pękły skały,  
gdy powódź rwąca wszelkie tamy,  
ocalił go nasz Ludek Mały...  
Lecz dziś... ach!... czyż go odzyskamy?*

*Kochaliśmy go ubożuchną  
miłością, co w zwierzętach drzemie...  
Och, żal!... Nasz brat na wieki usnął,  
a dziś nas gnębi – jego plemię...*

*„Żałobna pieśń langurów”*

Pewnego razu żył w Indiach człowiek, który był pierwszym ministrem jednego z na pół zawisłych<sup>43</sup> państweczek tubylczych w północno-zachodniej części kraju. Był on braminem kasty tak wysokiej, iż kasta po prostu przestała mieć dlań jakiegokolwiek znaczenie. Ojciec jego piastował w swoim czasie ważny urząd na pewnym dworze indyjskim, gdzie zachowywano staroświeckie obyczaje i gdzie wszystko stroiło się w pstre i jaskrawe szaty pełne frędzli, obszywek i figlasów. Purun Dass, doszedłszy lat

---

<sup>43</sup> *zawisty* – zależny. [przypis edytorski]

męskich, nabrał przekonania, że stary porządek już w gruzy się wali, a wobec tego każdy, kto chce się utrzymać przy władzy, powinien żyć w przyjaźni z Anglikami i naśladować wszystko, co Anglicy uważają za dobre. Z drugiej strony nie należy zapominać i o tym, że urzędnik-krajowiec musi stale dbać o względy swego właściwego zwierzchnika i liczyć się z jego wolą. Pogodzenie tych dwóch stanowisk jest hazardem nie lada, ale młody bramin, z natury spokojny, przezorny i małomówny, przeszedłszy wyborną tresurę na uniwersytecie w Bombaju, grał z zimną krwią, posuwając się krok za krokiem naprzód, aż w końcu doszedł do stanowiska pierwszego ministra przy boku królewskim, inaczej mówiąc, zdobył sobie faktycznie władzę większą niż jego zwierzchnik maharadża.

Gdy stary król, zawsze niechętnym okiem spoglądający na Anglików, na ich koleje i telegrafy, zszedł z tego padołu płaczu, Purun Dass uzyskał przemożny wpływ na jego młodego następcę, który dotąd wychowywał się pod opieką guwernera Anglika. Dbając pilnie o to, by do jego władzy odnoszono się z pełnym szacunkiem i zaufaniem, zakładał jednak do spółki z nim przeróżne szkółki dla dziewcząt, budował gościńce, urządzał wystawy narzędzi rolniczych, uruchamiał apteki publiczne, a z końcem każdego roku ogłaszał błękitną księgę *O moralnym i materialnym postępie państwa*. Angielskie ministerstwo spraw zagranicznych oraz rząd indyjski nie posiadały się z radości. Mało jest takich państw tubylczych, które przyjmują bez zastrzeżeń postęp narzucony im przez Anglików; jakoś bowiem

nie bardzo chce im się wierzyć – jak wierzył Purun Dass – że to, co Anglikom bywa na rękę, musi być na rękę i Azjatam.

Nie dziwota przeto, że pierwszy minister został zaszczycony przyjaźnią wicekrólów, gubernatorów, wicegubernatorów, misyj<sup>44</sup> sanitarnych i duchownych oraz twardo w siodło siedzących oficerów angielskich, zjeżdżających co pewien czas na polowania w leśnych rezerwach państwowych – nie mówiąc już o rzeszach turystów, którzy w porze chłodnej wędrowali tam i z powrotem po całych Indiach, nie szczędząc nikomu swych cennych rad z zakresu administracyjno-gospodarczego. W chwilach zbywających mu od pracy zaprawiał młodzież do rękodzieł i studiów lekarskich – idąc i w tym za przykładem Anglików; pisywał też korespondencje do „Pioniera”, największego podówczas dziennika w Indiach, wyjaśniając zapatrywania i dążności swego władcy.

W końcu wybrał się w podróż służbową aż do samej Anglii. Po powrocie musiał złożyć ogromny okup kapłanom, albowiem nawet bramin tak wysokiej kasty, jakim był Purun Dass, może utracić godność kastową, gdy przebył tak wielki szmat morskich przestworów. W Londynie spotykał się i rozmawiał z wszystkimi osobistościami sławnymi i zasługującymi na poznanie – a widział znacznie więcej, niż zwykł był w słowach wyjawić. Zdobywał honorowe stopnie akademickie na najśłynniejszych uniwersytetach, wygłaszał przemówienia na towarzyskich i publicznych zebraniach, a

---

<sup>44</sup> *misyj* – dziś popr. forma D.lm: *misji*. [przypis edytorski]

wieczorami bawił strojne damy wytworną i ciekawą rozmową o hinduskich reformach społecznych, aż w końcu wszystkie kobiety londyńskie poczęły wołać jak jeden mąż – a raczej jak jedna kobieta:

– Od czasu, jakieśmy po raz pierwszy włożyły długie suknie, nie zdarzyło się nam siedzieć przy stole i rozmawiać z tak czarującym mężczyzną!

Jeszcze żywszym ogniem zapłonęła jego chwała, gdy stanął znowu na ziemi indyjskiej. Oto sam wicekról wybrał się ze specjalną wizytą, by wręczyć maharadży Wielki Krzyż Gwiazdy Indyjskiej – cały w brylantach, wstęgach i emalii; podczas tegoż obrzędu, przy huku dział, Purun Dass został mianowany Komandorem Orderu Cesarstwa Indyjskiego; odtąd pełne jego nazwisko brzmiało: Sir<sup>45</sup> Purun Dass K.C.I.E.<sup>46</sup>

Tegoż wieczoru była w wielkim namiocie wicekróla wspaniała uczta, podczas której Purun Dass powstał, mając na piersi godło i wstęgę swego orderu, i w odpowiedzi na toast ku czci swego władcy wygłosił mowę tak świetną, iż mało który z rodowitych Anglików poważyłby się iść z nim w zawody.

W miesiąc później, gdy stolica kraju powróciła do dawnej, skwarnej i słonecznej ciszy, Purun Dass uczynił rzecz taką, o jakiej nawet by się nie śniło żadnemu z Anglików – ot, mówiąc po prostu, umarł dla świata... Wysadzany brylantami

---

<sup>45</sup> *sir* (ang.) – przydomek osób należących do szlachty ang. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *K.C.I.E.* – skrót od: *Knight Commander of the Order of the Indian Empire*, Komandor Orderu Imperium Indyjskiego [przypis edytorski]

order komandorski powędrował z powrotem do kancelarii wicekróla, kierownictwo spraw państwowych wziął w swe ręce nowy minister, a główna dyrekcja poczt i telegrafów wszczęła wielki ruch we wszystkich jej podległych urzędach. Kapłani wiedzieli, a gmin odgadywał, co się stało – atoli Indie są na całej kuli ziemskiej jedynym terytorium, gdzie człowiek może robić, co mu się żywnie podoba, i nikt nie zapyta go o przyczynę. Toteż nie widziano w tym nic osobliwego, że Dewan Sir Purun Dass wyrzekł się swego stanowiska, pałacu i politycznego znaczenia, by wziąć w rękę miseczkę żebraczą i przywdziać ceglastero koloru strój, w jakim chodzą świątobliwi pątnicy, zwani *sanyasi*. Zgodnie z przepisami starodawnego prawa był on przez dwadzieścia lat młodzieniaszkiem, przez drugie dwadzieścia wojownikiem (aczkolwiek nigdy w życiu nie tknął oręża), a przez trzecią dwudziestkę głową rodziny. Używał swych bogactw wedle wartości, jaką umiał w nich dostrzec; przyjmował zaszczyty, gdy nań spływały; przyjrzał się wielu ludziom i ludzkim siedliskom, zarówno dalekim, jak bliskim – wszędy doznawał czci, wszędy witano go chętnie. Teraz postanowił z tym zerwać – porzucić to wszystko, podobnie jak porzucamy płaszcz, który stał się już nam niepotrzebny.

Gdy bosy, samotny, z oczyma utkwionymi w ziemię szedł przez ulice stołeczne, niosąc pod pachą skórę antylopy i okuty mosiądzem kostur, a w ręku miseczkę żebraczą z brunatnej, gładkiej łupiny kokosu, słyszał poza sobą wystrzały armatnie, grzmiące z bastionów na cześć jego szczęśliwego następcy.

Słyszał je i kiwał głową. Całe dotychczasowe życie stało się dlań już bezpowrotną przeszłością; odnosił się do niego z taką obojętnością, z jaką człowiek, ze snu wytrzeźwiony, zwykł się odnosić do szarych, mglistych mar nocnych. Teraz był *sanyasi* – bezdomnym żebrakiem-włóczęgą, z łaski sąsiadów pożywającym<sup>47</sup> chleb powszedni; trzeba zaś wiedzieć, że póki zostanie choćby kęs do podziału, żaden kapłan ani żebrak w Indiach nie umrze z głodu. Purun nigdy w życiu nie skosztował mięsa, a nader rzadko jadał rybę. Banknotem pięciofuntowym potrafiłby opędzić wydatki osobiste na wikt przez każde z tych lat, w ciągu których był niezależnym panem milionowych sum pieniężnych. Nawet w czasie pobytu w Londynie, gdy go ugaszczano i podziwiano, marzył o spokoju i ciszy – o tym długim, białym, zakurzonym trakcie indyjskim, poznaczonym śladami bosych stóp, o płynącej z wolna, ale nieprzerwanie fali ludzkiej; i o gryzącym dymie kłód drzewnych, wijącym się o zmroku pod figowcami, gdzie wędrowcy zatrzymywali się celem spożycia wieczerzy.

Gdy nadszedł czas, w którym ten sen miał się ziścić, pierwszy minister „poczynił odpowiednie kroki” – a w trzy dni potem łatwiej byś odszukał bańkę piany na rozścieżkach Oceanu Atlantyckiego aniżeli Purun Dassa wśród wędrujących, to skupiających się, to rozpraszających się milionów ludności indyjskiej.

Nocą rozścielał skórę antylopy w miejscu, gdzie zaskoczyła

---

<sup>47</sup> *pożywać* – dziś: *spożywać*; *jeść*. [przypis edytorski]

go ciemność. Miejscem tym zaś był czasem przydrożny klasztor *sanyasi*, czasem próg ceglanej, na filarach wspartej kapliczki Kala Pir, gdzie ludzie święci odrębnego, choć niezbyt wyraźnego typu, zwani jogami, przyjmowali go, jak przystało tym, co znają się na wartości kast i odrębności społecznych, czasem przysiółek jakiejś niewielkiej osady hinduskiej, gdzie przekradały się doń dzieci, niosąc warzę przygotowaną przez rodziców; czasami wzgórek pośród nagiego stepu, gdzie blask ogniska, roznieconego przezeń z suchych badyli, budził drzemiące wielbłądy. Było to zgoła obojętne Purun Dassowi – czyli raczej Purun Bhagatowi – bo takie miano przybrał obecnie. Nie dbał o ziemię, ludzi i strawę. Nogi same go niosły niepostrzeżenie na wschód i na północ od południa ku Rohtakowi, od Rohtaku do Kurnool, od Kurnool do zwalisk Samanah, a następnie w górę rzeki Gugger, której wyschnięte łóżysko napętnia się wodą tylko wtedy, gdy w górach spadną obfite deszcze. Tak idąc, pewnego dnia ujrzał rysujący się w oddali wyniosły grzbiet Himalajów.

Wówczas uśmiechnął się Purun Bhagat wspomniawszy, że matka jego pochodziła z rodu braminów radżputańskich, zagnieżdżonych w okolicach Kulu – że zawsze tęskniła za śniegiem swych gór ojczystych i że najmniejsza nawet kropelka krwi góralskiej przyciąga człowieka prędzej czy później w te strony, skąd wziął początek.

– Tam osiadę i zdobywać będę wiedzę! – powiedział sobie Purun Bhagat, wdzierając się na stoki Siwaliku,

zarosłe kaktusami sterczącymi na kształt świeczników siedmioramiennych. Gdy wszedł na trakt wiodący do Szimil, zaświstał mu koło uszu rzeźwy wiatr płynący od Gór Himalajskich.

Inaczej przebywał tę drogę Purun niedawnym czasem! Jechał okazale, z przybocznym oddziałem jazdy, w odwiedziny do najszlachetniejszego i najślawniejszego z wielkorządców Indii; godzinę całą trwała ich rozmowa o wspólnych przyjaciółach w Londynie i o ustosunkowaniu się ludu indyjskiego do spraw politycznych. Obecnie Purun Bhagat nie myślał o składaniu wizyt, tylko oparł się o barierę gościńca, przyglądając się wspaniałemu widokowi na niziny, rozpościerającemu się przed nim w promieniu mil czterdziestu. Stał tak długo w zapatrzeniu, póki policjant, krajowiec-mahometanin, nie upomniał go, że tamuje ruch uliczny. Purun Bhagat czołobitnie pokłonił się przedstawicielowi władzy; wiedział bowiem, co to prawo – i teraz wszak poszukiwał prawa, co by nim kierowało.

Następnie ruszył w dalszą drogę i przenocował w pustym szałasie w Czhot Szimla. Miejscowość ta, która turystom wydaje się najdalszym krańcem świata, była dla Puruna Bhagata początkiem podróży. Odtąd posuwał się szlakiem himalajsko-tybetańskim, wąską, dziesięć stóp szerokości mierzącą drożyną, wyłamaną dynamitem w twardej opoce lub wymoszczoną potężnymi kłodami drzewa ponad brzegiem przepaści na tysiąc stóp głębokiej – opadającej w młaczne<sup>48</sup> i parne kotliny – to

---

<sup>48</sup> młaczny – bagnisty; od daw. *młaka* a. *młoka*: moczary, bagno. [przypis edytorski]

znów pnącą się po nagich połoninach, gdzie słońce przypieka jak soczewka szkła powiększającego – to wreszcie wijącą się przez podmokłe, ciemne lasy, gdzie pnie drzewne od korzeni po gałęzie zarastają pękami paproci, a po gąszczach wabia się bażanty. Spotykał tu pasterzy tybetańskich, wiodących psy i stada owiec z woreczkami boraksu, zawieszonymi wśród wełny. Spotykał zakutanych w wełniane opończe lamów tybetańskich, pielgrzymujących do Indii. Kiedy indziej mijali go wysłannicy małych udzielnych państw górkich, cwałując jak opętani na łaciatych i pręgatyh kucykach, lub spędzał go z drogi orszak konny jakiegoś radży, odbywającego podróż dyplomatyczną. Bywało też, że przez cały dzień – od rana do świtu – nie napotkał nikogo prócz czarnego misia, sapiącego ciężko i wygrzebującego korzonki na stokach górskiej doliny.

Z rozpoczęciem wędrówki gwar porzuconego świata dzwonił mu jeszcze w uszach, podobnie jak gwar tunelu rozlega się jeszcze przez chwilę za pociągiem, który zeń wyjechał. Lecz po przebyciu przełęczy Mutteanee wszystko ucichło – i Purun Bhagat był pozostawiony sam sobie. Szedł, przyglądał się i rozmyślał – wodząc wzrokiem po ziemi i myślą po obłokach.

Pewnego wieczoru przebył najwyższą przełęcz, jaka stała mu w drodze; wspinanie się na nią zabrało mu całe dwa dni i ujrzał łańcuch śnieżnych szczytów, opasujących widnokraj; były to góry mierzące od piętnastu do dwudziestu tysięcy stóp wysokości; wydawały się tak bliskie, iż rzekłbyś, można było rzucić do nich kamieniem – w rzeczywistości jednak znajdowały

się w odległości mil kilkudziesięciu. Przełęcz wieńczyły gęste, ciemne bory; rosły tam deodary, orzechy włoskie, dzikie czereśnie, dzikie oliwki i dzikie grusze, najczęściej jednak było deodarów, czyli cedrów himalajskich.

W cieniu deodarów wznosiła się opuszczona kapliczka bogini Kali – zwanej też Durgą albo Sitalą która tu i ówdzie doznaje czci, jako mająca moc ratowania od czarnej ospy.

Purun Dass zamiótł kamienną posadzkę, uśmiechnął się do rozdziawionej gęby bóstwa, założył sobie w głębi kapliczki małe palenisko z gliny, rozpostarł skórę antylopy na pościeli ze świeżego igliwia, włożył pod pachę godło swoje – *bairagi*, czyli kostur o mosiężnej rękojeści – i usiadł, by wypocząć z podróży.

Tuż u stóp jego staczało się zbocze górskie, ciągnące się stromo hen ku przylepionej do urwiska gromadce kamiennych domków o dachach z ubitej ziemi. Wokoło tej wioszczyny leżały, niby łaciasty fartuch na kolanach góry, maluchne, tarasowato ułożone poletka, a krowy, nie większe od chrząszczy, pasły się wśród wałów kamiennych, odgradzających klepiska. Spoglądając na drugą stronę doliny, oko myliło się w ocenie wielkości przedmiotów i nie od razu miarkowało, że to, co zdawało się niskim zaroślem na przeciwległym zboczu, było w istocie lasem sosnowym, wybujałym na sto stóp wysokości. Purun Bhagat zapatrzył się w orła szybującego ponad olbrzymią otchłanią – ale wielki ptak zmałał do rozmiarów drobnego punkcika, zanim przebył połowę drogi. Obłoki, rozproszone po dolinie, nizały się jakby wiązanki lśniących paciorków, to uczepiając się grzbietu

gór, to znów wznosząc się w górę i niknąc, gdy stanęły na jednym poziomie z wierzchołkiem przełęczy.

– Tu znajdę ciszę – powiedział sobie Purun Bhagat. Dla górala drobnostką jest przebycie kilkuset stóp w dół czy w górę, więc gdy wieśniacy ujrzeli dym wznoszący się nad opuszczoną kapliczką, natychmiast kapłan miejscowy wdrapał się po upłazach na wyżnię, by powitać przybysza.

Wejrząwszy w oczy Purun Bhagata – oczy człowieka nawykłego rozkazywać tysiącom poddanych skłonił się nisko do samej ziemi, nie mówiąc ani słowa, po czym równie bezsłownie zabrał jego miseczkę zebraczą i powrócił do wioski. Wieśniakom dopytującym się o wynik wyprawy taką ogłosił nowinę:

– Oto do nas nareszcie zawitał mąż święty. Nigdy nie widział człowieka, co by mu był równy. Jest rodem z nizin, ale lica ma białe. Prawdziwy bramin z dziada-pradziada.

Gospodynie wiejskie, wiedzione kobiecą ciekawością, zaczęły się dopytywać:

– Jak myślisz? Czy aby on pozostanie między nami?

Otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą, jeły gotować na wypródki co najsmaczniejsze potrawy dla Bhagata. Jadło góralskie jest niewymyślne, ale z hreczki, kukurydzy, ryżu, papryki, drobnych rybek ułowionych w górskim potoku, z miodu podebranego w skalnych barciach, suszonych moreli, dzikiego imbiru i ciasta niezaprawnego potrafi bogobojna kobieta przyrządzić prawdziwie smakowitą ucztę. Całą misę takich frykasów zaniósł kapłan Bhagatowi i jął go dopytywać,

czy zamierza pozostać u nich; czy nie życzyłby sobie czela, czyli ucznia, który by za niego żebrał; czy ma derkę, która by go zabezpieczyła przed zimnem i słońcem; czy smakuje mu jadło i tak dalej i tak dalej...

Purun Bhagat jadł i dziękował ofiarodawcy, oświadczając, że owszem, z chęcią pozostanie między nimi. Kapłanowi wystarczyło to zapewnienie. Prosił więc Bhagata, by zostawiał miskę przed kapliczką w małej jamce utworzonej przez splątane korzenie drzewne, a może być pewny, że nie dozna nigdy głodu – albowiem cała wieś czuje się niezmiernie szczęśliwa, że mąż tak dostojny (to mówiąc spojrzął z lękiem w oblicze Purun Bhagata) raczy przebywać pomiędzy nimi.

Dzień ów był kresem wędrówek Purun Bhagata; oto bowiem pielgrzym dotarł do przeznaczonego dlań miejsca, gdzie znalazł ciszę i przestrzeń. Czas tu niejako stanął w miejscu, tak iż Purun, siedząc u wnijscia kapliczki, nie umiał orzec sam o sobie, *żyjeli*<sup>49</sup> jeszcze czy jest już umarły; nie wiedział, czy władnie<sup>50</sup> swymi członkami, czy też obszarem gór, obłokami, blaskiem słonecznym i ulewą. Powtarzał sobie cicho po stokroć jedno imię, a za każdym powtórzeniem wydawało mu się, iż bardziej odrywa się od ciała i bardziej się zbliża do wrót jakiejś przerażającej tajemnicy; atoli gdy wrota już się otwierały, ciało ciągnęło go z powrotem i ze smutkiem uświadamiał sobie, że jest uwięziony w ciele Purun Bhagata.

---

<sup>49</sup> *żyjeli* – konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czy żyje. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *władnie* – dziś popr. forma: władza. [przypis edytorski]

Każdego ranka ktoś po cichu stawiał napełnioną miseczkę zebraczą w występie korzeni pod kapliczką. Czasem przynosił ją kapłan; czasem zasię zamieszkały w wiosce ladakhijski przekupień piał się po stromej perci, by zdobyć sobie zasługę. Najczęściej jednak drogę tę odbywała jedna z gospodyń wiejskich – ta, która przez daną noc trudziła się gotowaniem dla niego strawy. Przyszedłszy pod kapliczkę, mruczała półgłosem:

– Przemów za mną do bogów, Bhagacie. Przemów za... (tu podawała imię swoje i swojego męża).

Niekiedy powierzano tę zaszczytną misję któremuś z odważniejszych chłopców, a wtedy Purun Bhagat słyszał, jak wysłaniec stawiał prędko miskę i umykał co sił w nogach.

Sam Bhagat nigdy nie zachodził do wioski. Leżała ona zawsze niby jakowaś mapa, u jego stóp. Widywał wieczorynki, które urządzano na klepiskach – owych jedynych w całej wiosce przestrzeniach, gdzie grunt był jako tako równy. Widywał przedziwną, niewysłowioną zieleń runi ryżowej, indygowy błękit kukurydzy, puszyste zakosy hreczki oraz czerwone kwiecie amarantu, którego małe nasionka, niebędące ani zbożem, ani kaszą, dają pożywne jądło, dozwolone według prawa Hindusom nawet w czasie postów.

Ze schyłkiem roku dachy chat stały się płytami najczystszej złota, gdyż zaczęto tam składać, celem wysuszenia, snopy zżętego zboża. Młocka i sianokosy, przesiewanie i łuskanie ryżu – wszystko to działo się przed oczyma pustelnika – tam w dole, na tle haftu wielobocznych poletek. Purun Bhagat rozmyślał o

wszystkim, co widział, i zastanawiał się, jaki cel i wynik może mieć rzecz każda.

Nawet w ludnych okolicach Indii niepodobna przesiedzieć spokojnie przez dzień cały, nie będąc napastowanym przez złośliwe stworzenia, które snadź<sup>51</sup> uważają człowieka nieporuszającego się za bryłę głazu. Nie dziwota, że żyjące w tym pustkowiu różne dzikie stworzenia, z dawien dawna obeznane z kaplicą Kali, rychło poczęły ją nawiedzać, by przyjrzeć się intruzowi. Pierwsze oczywiście pojawiły się langury, siwowąsę małpy himalajskie, które są uosobieniem ciekawości. Przewróciwszy miseczkę żebraczą i potoczywszy ją po ziemi, wypróbowałszy mocy swych zębów na mosiężnej gałce kostura i naznęcawszy się do woli nad skórą antylopy, doszły do przekonania, że siedząca nieruchomo istota ludzka nie może im uczynić nic złego. Wieczorem zeskakiwały z sosen i wyciągały ręce, żebrząc pożywienia, a potem umykały, wyginając się w zgrabnych podrygach. Upodobały sobie ciepło ogniska, więc skupiały się koło niego i siedziały przykucnięte, póki nie zostały na bok odsunięte przez gospodarza, zamierzającego dorzucić większej ilości paliwa. Rankiem Purun Bhagat nierzadko znajdował przy sobie kosmatą małpę, dzielącą się jego kocem, zaś przez cały dzień stale jedna z nich siadywała przy jego boku, gapiąc się na śniegi, papląc coś pod nosem i przybierając niesłychanie mądre i frasobliwe miny. Za małpami nadciągał wielki jeleń *barasingh*, podobny do

---

<sup>51</sup> *snadź* (daw.) – widocznie, podobno. [przypis edytorski]

naszego jelenia, ale znacznie okazalszy; pragnął zetrzeć scypuł ze swych rogów o twarde głązy posągu Kali.

Ujrzawszy człowieka w kaplicy, królewski zwierz począł ze złości wierzgać nogami; atoli widząc, że Purun Bhagat wcale nie rusza się z miejsca, podszedł boczkiem ku niemu i jął ocierać się chrapami jego ramię. Purun Bhagat pogłaskał chłodną dłonią jego rozparzone poroże. Dotknięcie to przyniosło ulgę zgorączkowanemu zwierzęciu; jeleni pochylił głowę, a Purun Bhagat z wielką ostrożnością startł i wyskubał sierść z rogów. Wkrótce potem *barasingh* zaczął przyprowadzać swą łanię i jelonki – przemiłe stworzonka, które mamląły rozkosznie, leżąc na derce świętego męża; czasami zachodził nocą tylko sam, lśniąc zielonymi oczyma w odbłasku ogniska, i pożywiał się porcją świeżych orzechów. W końcu zawitał tu również i piźmowiec, najpłochliwszy i najmniej z leśnych zwierzaków, wiecznie nastawiający wielkie, zajęcze uszy. Ba, nawet cętkowany, wiecznie milczący *mushick-nabha* wymyszkował widocznie, co oznacza światło w kapliczce, bo począł gmerać swym pociesznym ryjkiem w zanadrzu Purun Bhagata, biegając tam i sam w zawody z cieniami ogniska.

Wszystkie te zwierzęta zwał Purun Bhagat swoimi braćmi, a jego ciche nawoływanie: *Bhai! Bhai!* wywabiło je w biały dzień z lasu, o ile znajdowały się nieopodal. Czarny niedźwiedź himalajski, podejrzliwy dziwak Sona, noszący na podgardlu białe znamię w kształcie litery V, przechodził niejednokrotnie tą drogą; ponieważ zaś Bhagat nie okazywał strachu, więc i

Sona nie myślał okazywać gniewu, tylko przyglądał się odważnie mieszkańcowi kapliczki, niebawem zaś podszedł ku niemu i zaczął dopraszać się o pieszczoty wraz z przyczynkiem chleba lub dzikich jagód.

Nieraz o cichym świcie, gdy Purun Bhagat wdzierał się na sam wierzchołek wrębu przełęcz, by przyjrzeć się rumianym blaskom dnia, posuwającym się wzdłuż śnieżnych szczytów, widywał, jak Sona drepce i sapie tuż poza nim, wsadza wścibską łapę pod zwalone pnie drzewne i wyciąga ją stamtąd z fuknięciem znamionującym zniecierpliwienie. Wychodząc rankiem z kapliczki, nieraz odgłosem kroków budził Sonę zwiniętego w kłębek pod progiem; niedźwiedzisko natychmiast zrywało się na równe nogi, gotowe do walki, póki nie posłyszało głosu Bhagata i nie rozpoznało swego najlepszego przyjaciela.

Niemal wszyscy pustelnicy i ludzie święci żyjący z dala od wielkich miast uchodzą za cudotwórców zdolnych rozkazywać dzikim zwierzętom. W całym owym cudotwórstwie zasadą główną bywa zazwyczaj: zachowywać się spokojnie, nie wykonywać nagłych ruchów, a przez czas dłuższy nie spojrzeć ani razu wprost na przybysza. Mieszkańcy wioski widywali sylwetkę jelenia krocącego niby cień przez ciemny bór za kapliczką; widywali himalajskiego bażanta *minaula* gorejącego całą tęczą barw przed obliczem posągu Kali; widywali i langury, co przycupnąwszy w świątyni, igrały łupinami orzechów. Ba, niektóre z dzieci słyszały, jak Sona, schowany za zwałem skalnych piargów, nucił sobie jakąś śpiewkę niedźwiedzią pod

nosem. Przeto sława Bhagata jako cudotwórcy utrwaliła się i była niezachwiana – jakkolwiek jego duszy nic tak nie było obce jak cudotwórstwo.

Purun Bhagat wierzył, że wszystko w świecie jest jednym wielkim cudem – i że człowiek, który sobie to uświadamia, nie potrzebuje już szukać innych podstaw swego żywota. Wiedział – i miał za rzecz pewną – że nie masz nic wielkiego ani małego na tym świecie, a dniem i nocą wmyślał się z wolna w samą istotę wszechrzeczy, kierując się ku źródłisku, z którego szła jego dusza.

Rozmyślał, rozmyślał i nie było końca rozmyślaniom... Nieczesane włosy spływały mu długą falą na barki; w kamiennej płycie obok skóry antylopy utworzył się dołek wyżłobiony mosiężnym okuciem kostura, zaś wnęka wśród kłodzin drzewnych, kędy co dzień stawiano miseczkę żebraczą, pogłębiła się w kształt jamki, niemal tak wklęsłej i gładkiej jak powierzchnia kokosowej łupiny. Zwierzęta zadomowiły się już na dobre koło ogniska – każde z nich miało tam swoje miejsce. Pola z każdą porą roku zmieniały swą barwę; gumna napełniały się zbożem, opróżniały się i znów napełniały; ilekroć zasię nadeszła zima, langury hasały żwawo wśród gałęzi oprószonych śniegiem, póki z nastaniem wiosny małpie matki nie wyhodowały nowego pokolenia kłapouchych małpiątek w ciepłym zaciszu parowów. W wiosce mało się zmieniało. Kapłan się postarzał, a małe berbecie, które wpierw nosiły miseczkę żebraczą, teraz wysyłały z nią swą własną dziatwę. Gdy zaś

pytano wieśniaków, jak dawno święty mąż przemieszkuje w świątyni Kali przy siodle przełęczy, odpowiedzieli: „Mieszkał tu zawsze”.

Pewnego roku nastąpiły latem takie deszcze, jakich nie widywano w górach od dłuższego czasu. Przez trzy – prawdziwie „oblewane” – miesiące dolina była spowita chmurami i rozkiszłą śiapawicą; deszcz mżył bez przerwy, uporczywie, raz po raz przechodząc w nawałną ulewę. Kaplica bogini Kali po większej części stała w chmurach, a był i taki miesiąc, w którym Bhagat ani razu nie dostrzegł najmniejszego nawet skrawka wioski; ukryła się bowiem pod białym stropem mgły, który chwiał się, przesuwał się z miejsca na miejsce, falował i wydymał się w górę, ale nigdy się nie zwałił ze swoich filarów – z zalanych wodą stoków doliny.

Przez cały ten czas Bhagat nie słyszał nic oprócz miliona drobnych strużek, szumiących to pomiędzy gałęzmi nad głową, to po rozmiękłym gruncie pod nogami – sączących się poprzez iglaste sosny korony – ociekających z koniuszków strzępiastej paproci, to znów toczących się utartymi dopiero co koleinami żlebów. Potem wyjrzało słońce, przywodząc błogą woń deodarów i różokrzewów oraz ten daleki, rzeźwiący zapach, który górale nazywają „zapachem śniegów”. To ciepło słoneczne trwało cały tydzień, po czym znów zebrały się deszcze, by lunąć po raz ostatni; nawał wody był tak wielki, iż zdarł całą zwierzchnią warstwę gruntu i bryzgał na znaczną wysokość kłębamii błota. W ową noc Purun Bhagat przygotował wielki

stos opału, bo był pewny, że zziębnięci jego bracia łaknąć będą ciepła. Wszelakoż ani jedno zwierzę nie przybyło do kapliczki, mimo że Purun wabił je serdecznie i długo – aż w końcu usnął znużony, dziwując się mocno, co też takiego zdarzyć się mogło w głębi boru.

W najciemniejszą godzinę nocy, gdy ulewa dudniła jak tysiąc tarabanów<sup>52</sup>, zbudziło go ze snu jakieś szarpnięcie za derkę. Wyciągnawszy się, uczył koło siebie drobną dłoń langura.

– Tutaj lepiej niż pod drzewami – ozwał się sennie Purun Bhagat, odgarniając jeden ze zwiniętych brzegów derki – wleźże do mnie i ogrzej się!

Ale małpka złapała go za rękę i poczęła ją ciągnąć.

– Aha! Dopominasz się jadła? – dorozumiewał się Purun Bhagat. – Poczekaj, zaraz ci przygotuję.

Atoli<sup>53</sup> gdy przykleknął, by dorzucić drew do ognia, langur pobiegł ku drzwiom kapliczki, zaskrzeczał żałośnie i wróciwszy chyżo do świętego męża, uchwycił go za kolano.

– Co się stało? Cóż cię tak zaniepokoiło, bracie? – zapytał Purun Bhagat widząc, że w oczach langura malują się jakieś rzeczy, których biedne zwierzę nie umie wypowiedzieć. – Jeśli nikt z twych pobratymców nie wpadł w pułapkę (zresztą, o ile mi wiadomo, nikt tu nie zastawia pułapek!), nie mam ochoty wychodzić na słotę i zawieruchę. Patrz no, bracie, nawet

---

<sup>52</sup> *taraban* – bęben wojskowy. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> *atoli* (daw.) – jednak; spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast. [przypis edytorski]

*barasingh* przyszedł szukać u mnie schronienia.

Jakoż w tejże chwili królewski zwierz wszedł wspiniałym krokiem do świątyni. Szczęknął rogami o posąg bogini Kali, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, po czym nachylił łeb w stronę Purun Bhagata i jął wierzgać złowrogo, parszkając przez półprzymknięte chrapy.

– Hej! Hej! Hej! – zawołał Bhagat, trzaskając palcami. – Czy to ma być zapłata za nocleg?

Jeleń nie zważał na te słowa, tylko w dalszym ciągu popychał go ku drzwiom. Jednocześnie Purun Bhagat posłyszał jakiś jęk czy zgrzyt i obaczył, że dwie płyty w podłodze rozsunęły się na pewną odległość, a pod nimi zaczęła chlupotać i mlaskać grząska ziemia.

– Aha! Teraz rozumiem! – rzekł do siebie Purun Bhagat. – Nie mam żalu do mych braci, że nie zasiedli dziś nocą przy mym ognisku! Więc to góra zaczyna się obsuwać i grozi zawaleniem! ... Ale.... ale, po cóż mam odchodzić?

Wzrok jego padł na pustą miseczkę żebraczą i twarz mu się zmieniła.

– Tu obdarzano mnie wyborną strawą codziennie od czasu... od czasu, gdym tu przybył... Jeżeli się nie pośpieszę, jutro może ani jeden człowiek w dolinie nie pozostanie przy życiu. Nie ma co zwlekać! Muszę zejść na dół i ostrzec mieszkańców wioski. Odsuńcie się, bracia! Pozwólcie mi podejść do ognia.

*Barasingh* odsunął się niechętnie, a Purun Bhagat wetknął głownię głęboko w ogień i obracał ją tak długo, póki nie

rozgorzała silnym płomieniem.

– Więc przyszlście mnie przestrzec! – rzekł, powstając. – Ale uczynimy coś jeszcze lepszego, niż wam się zdaje. Wyjdźmy już, a ty, bracie, użycz mi swego karku, bo mam tylko jedną parę nóg.

To rzekłszy, objął prawą ręką szczeciasty<sup>54</sup> grzbiet *barasingha*, w lewicy uniósł pochodnię i wyszedł z kapliczki w ponury, nieprzenikniony mrok nocy. Wiatru wcale nie było, ale deszcz o mało co nie zgasił pochodni, gdy wielki zwierz, ślizgając się na tylnych racicach, zbiegł pędem po stoku góry. Gdy wydostali się z lasu, przyłączyło się do nich więcej braci Bhagata. Nie widząc nikogo, słyszał przecie wokoło siebie zwinne kroki langurów, a poza nimi basowe sapanie Sony.

Ulewa zmierzwiła długie, siwe włosy Bhagata, które obwisły w dół jak postronki; woda pluskała pod bosymi stopami starca, a żółta odzież przylgnęła do jego słabowitego ciała – mimo to stąpał uporczywie i wytrwale, opierając się na grzbiecie *barasingha*. Dokonała się w nim zmiana. Nie był to już asceta-pustelnik, ale Sir Purun Dass, K.C.I.E., pierwszy minister pokaźnego państwa, człowiek nawykły do rozkazywania, śpieszący ratować swych podwładnych. Stromą, oślizłą, rozchlaną drogą posuwali się w dół – Bhagat ze swoją bracią. Szli coraz niżej i niżej, póki jelenie nie zaczęły potykać się i trącać rogami o ogrodzenie gumna; wówczas stanęły i jęły parskać, bo zwęszyły człowieka. Jakoż znajdowano się już u wylotu jednej z krętych uliczek wioski. Bhagat zastukał

---

<sup>54</sup> *szczeciasty* – dziś: *szczeciniasty*. [przypis edytorski]

kosturem w zawarte okiennice domu kowala, a podniesiona pochodnia rozjarzyła się żywym blaskiem pod osłoną okapu.

– Wstawajcie i uciekajcie! – krzyknął Purun Bhagat, nie rozpoznając własnego głosu, gdyż od lat całych nie zdarzyło mu się przemawiać do ludzi. – Góra się wali! Góra wkrótce runie! Zbudźcie się i uciekajcie, wieśniacy!

– To nasz Bhagat! – zawołała kowalowa. – On tu przyszedł ze wszystkimi swymi zwierzętami. Zbierz dziatwę i poślij ją do wioski. Niech pobudzą, niech zawiadomią wszystkich!

Wieść pobiegła od domu do domu, a tymczasem zwierzęta, stłoczone w ciasnej przestrzeni, ławą falującą obiegały Bhagata. Sona sapał z niecierpliwości.

Ludzie wypadli na ulicę – było ich, razem wzięwszy, dusz około siedemdziesięciu – i przy blaskach pochodni ujrzeli Bhagata, opartego o bok przerażonego *barasingha*, rzesze małych szarpiących go niespokojnie za rękawy oraz Sonę, który ryczał przeraźliwie, przysiadłszy na ziemi.

– Wyminąć dolinę i wejść na najbliższą górę! – huknął Purun Bhagat – Niech nikt się nie ociąga! My pójdziemy za wami!

Wówczas ludziska poczęli śmigać pod górę, jak to śmigać umieją jedynie górale. Wiedzieli, że w razie obsunięcia się ziemi należy wdrapać się na najwyższy upłaz poza doliną. Mknęli więc chyżo, brnąc z chlupotem przez małą rzeczulkę na dnie doliny, a dostawszy się na tarasowate poletka po drugiej stronie, jęli piąć się po nich z mozołem. Bhagat szedł za nimi otoczony swą bracią.

Wspinali się coraz wyżej i wyżej na przeciwległe zbocze,

nawołując się wzajemnie po imieniu – hasłem używanym w wiosce. Tuż poza nimi sunął wielki *barasingh*, obciążony słabnącym coraz bardziej Purun Bhagatem. Szedł i szedł z wielkim trudem aż na koniec zatrzymał się w cieniu gęstego lasu sosnowego, o pięćset stóp od podnóża góry.

Ten sam instykt, który ostrzegł go przez zbliżającą się katastrofą, szepnął mu teraz, że w tym miejscu będzie bezpieczny.

Purun Bhagat osunął się bezwładnie przy boku zwierzęcia, bo przenikliwy ziąb ulewy i zawziętość wspinaczki dały mu się śmiertelnie we znaki. Zanim jednakże omdlał, zdołał krzyknąć w stronę rozproszonych ludzi z pochodniami:

– Stańcie i policzcie się!

A obaczywszy, że światła skupiły się w jednym miejscu, szepnął do jelenia:

– Pozostań przy mnie, bracie. Pozostań... póki nie... odejdę!

...

W powietrzu ozwał się jakiś głuchy jęk, który niebawem wzmógł się w groźny pomruk, następnie zaś spotężniał w huk, przechodzący wszelką granicę ludzkiego słuchu.

Zbocze górskie, na którym stali wieśniacy, zatrzęsło się w ciemności i zakółsało wskutek jakiegoś uderzenia. Potem przez dobre pięć minut buczała w powietrzu jakaś nuta wyraźna, głęboka i przeciągła, podobna do niskiego C w organach, od której pnie sosen dygotały aż po same korzenie. Gdy skończył ostatni jej pogłos, nie dawał się już więcej słyszeć gromki stukot

strug deszczowych o twardą skałę, jaki wpierv rozbrzmiewał o kilka mil opodal; zamiast niego wpadł teraz w ucho głuchy, stłumiony chłupot wody rozlanej na miękkim gruncie...

Głosy te starczyły za całą opowieść.

Żaden z wieśniaków – nawet sam kapłan – nie był dość śmiały, by przemówić choć słówkiem do Bhagata, który uratował im życie. Wszyscy przycupnęli pod sosnami i czekali nadejścia poranku. Gdy niebo poszarzało, jęli spoglądać w dolinę. Tam, gdzie wpierv był las, uprawne stoki i poprzerzynane ścieżkami hale, teraz widniało grząskie i szorstkie, w kształt wachlarza usypane rumowisko, na którego krawędzi zwisało kilka drzew wyrzuconych korzeniami do góry. Ta maź czerwona pobiegła hen aż pod wzgórze, użyczające schronienia wieśniakom. Zatomowana tym usypiskiem rzeczółka poczęła się rozlewać w jezioro ceglastej barwy. Z wioski, z drogi wiodącej ku kapliczce, z samej kapliczki i lasu poza nią nie pozostało ani śladu. Całe zbocze na milę szerokości i na dwa tysiące pionowej wysokości oderwało się od pnia góry i runęło w dolinę, równając wierzchołek swój z podnóżem.

Wieśniacy zaczęli jeden po drugim przekradać się przez las, by pokłonić się Purun Bhagatowi. Ujrzeni przy nim stojącego *barasingha*, który pierzchł na ich widok, postyszeli żałosne kwilenie langurów pośród gałęzi oraz rozpaczliwe jęki Sony gdzieś na zboczu góry. Atoli<sup>55</sup> sam Bhagat już nie żył.

---

<sup>55</sup> *atoli* (daw.) – jednak, lecz; spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast. [przypis edytorski]

Siedział nieruchomo na podwiniętych nogach, oparty o drzewo, trzymając kostur pod pachą, a twarzą obrócony w stronę północno-wschodnią. Kapłan, widząc to, przemówił:

– Zważcie, jaki to cud nad cudy! W takiej to postawie powinno się grzebać wszystkich *sanyasi*. Przeto w tym miejscu, gdzie on spoczywa, zbudujemy świątynię naszemu świętemu człowiekowi.

Nim rok upłynął, postawili w tym miejscu świątynię z niewielkim ołtarzykiem kamiennym i ceglana kapliczką; na górze tej, którą nazwano Górą Bhagata, po dziś dzień odbywają się nabożeństwa ze świecami, kwiatami i ofiarami.

Jednakże nikt z ludzi miejscowych nie domyśla się nawet, że świątek, któremu tu cześć oddają, jest to nieboszczyk Sir Purun Dass, K.C.I.E., D.C.L.<sup>56</sup>, Ph.D.<sup>57</sup> etc., były pierwszy minister postępowego i oświeconego państwa Mohiniwala, członek honorowy i członek-korespondent towarzystw naukowych o wiele liczniejszych, niżby ich było komukolwiek potrzeba na tym lub na drugim świecie.

---

<sup>56</sup> *D.C.L.* – skrót od ang. *Doctor of Civil Law*: doktor prawa cywilnego. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *Ph.D.* – skrót od ang. *Doctor of Philosophy*: doktor filozofii. [przypis edytorski]

# Pieśń Kabira

Jakiż lekki był świat, który w dłoniach on ważył!  
Jak ciężły mu ziemie, nad którymi włodarzył<sup>58</sup>!  
Rzucił tron, wdział łachmany, wziął żebracze biesagi;  
W tym przebraniu w świat ruszył – jako pątnik-*bairagi*.

Biała droga do Delhi jest kobiercem nóg jego;  
Sal i kikar w tej drodze od upałów go strzegą;  
Domem jest mu włóczęga, ciżba ludzka, step nagi.  
Szuka Drogi Zbawienia święty pątnik-*bairagi*.

Człowiekowi się przyjrzał – i przewidział oczyma  
(Kabir mówi: „Jest Jednia i prócz Jedni nic nie ma”);  
Znalazł Drogę, co pierwej uszła jego uwagi,  
Z oczu Krwawą Mgłę Złudy stracił pątnik-*bairagi*.

Żeby prawdy się uczyć, zbyć się błędnych omamień  
I za braci poczytać Bóstwo, zwierzę i kamień,  
Rzucił dwór, przywdział łachman i żebracze biesagi  
(Kabir rzece: „Słysz, człeczce!”) – i w świat ruszył *bairagi*.

---

<sup>58</sup> *włodarzyć* – rządzić. [przypis edytorski]

# Najazd dżungli

*Zaduśmy ich, skrepujmy w bujnych łodyg pęta,  
o kwiaty i chwasty, i zioła!  
Niech głos ludzki, ich widok i woń ich przekłeta  
w pamięci nam zatrać się zgoła!  
Na ołtarzach leżący popiół gęsty, czarny  
niech w świecie wichura rozproszy;  
na polach niezasianych niech się legną sarny  
i nikt już ich odtąd nie spłoszy —  
i niech nikt już nie mieszka wśród gruzów i zwalisk  
w tej głuchej, zapadłej pustoszy!*

Kto czytał opowiadania zawarte w pierwszej *Księdze dżungli*, przypomni sobie niezawodnie, jak to Mowgli, przytwierdziwszy skórę Shere Khana do Skały Narady, oznajmił niedobitkom Wilczej Gromady Seoneeńskiej, że odtąd będzie polował w kniei samopas – i jak cztery szczenięta Ojca Wilka i Matki Wilczycy oświadczyły, że będą wiernie towarzyszyły mu w łowach. Ale niełatwo to przychodzi zmienić od razu tryb życia – szczególnie w puszczy. Przeto Mowgli, gdy mu się powiodło rozpedzić niesforną Gromadę, przede wszystkim udał się do ojczystej jaskini i przespał tam całą dobę.

Wypawszy się, jął opowiadać Ojcu Wilkowi i Matce Wilczycy wszystkie przygody, jakich zaznał pomiędzy ludźmi. Słuchali go oboje bardzo uważnie, starając się wszystko

rozumieć. Gdy zaś począł w blaskach wschodzącego słońca migotać klingą myśliwskiego noża – tego samego, którym wypatroszył Shere Khana – przyznali mu, że nauczył się przecie czegoś pożytecznego.

Następnie przyszła kolej na Szarego Brata i Akełę, by opowiedzieli o swym pościgu za bawołami w wąwozie. Baloo wygramolił się na sam szczyt góry, by posłuchać całej opowieści, a Bagheera gładziła się po puszystej sierści, uradowana sprawnością, jaką okazał Mowgli w owej walce.

Słońce już dawno wstało, atoli nikt nie zabierał się do spania. Matka Wilczyca raz po raz wznosiła łeb w górę i z rozkoszą wciągała w nozdrza cuch<sup>59</sup> skóry tygrysy, nadlatujący z wiatrem od Skały Narady.

– Ale gdyby nie Akela i obecny tu Szary Brat, nie dokazałbym niczego – rzekł Mowgli na zakończenie swej opowieści. – Ach, matko, matko! Gdybyś ty widziała, jak siwe buhaje gnały przez wąwóz... i jak gracko wpadły przez wrota do wsi wówczas, gdy Ludzka Gromada obrzuciła mnie kamieniami!

– Cieszę się, że tego nie widziała – odpowiedziała chłodno Wilczyca. – Nie mam zwyczaju pozwalać, by moje dzieci odpędzono precz niby bandę szakalów<sup>60</sup>! Ja bym nie omieszkała odplącić się należycie za to Ludzkiej Gromadzie: oszczędziłabym tylko tę kobietę, która karmiła cię mlekiem. Tak! Tylko ją jedną pozostawiłabym przy życiu!

---

<sup>59</sup> *cuch* (daw.) – zapach. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *szakalów* – dziś popr.: szakali. [przypis edytorski]

– Cicho, cicho, Raksha! – odezwał się Ojciec Wilk tonem niedbałym. – Nasz Żabuś powrócił do nas... tak mądry, że własny ojciec musi lizać jego stopy! Cóż wobec tego znaczy parę sińców na głowie? Dałabyś spokój ludziom!

A Baloo i Bagheera zawtórzyli<sup>61</sup>:

– Dałabyś ludziom spokój!

Mowgli, przytuliwszy głowę do boku Matki Wilczycy, uśmiechnął się z zadowoleniem i oświadczył, że nie chce odtąd widzieć ludzi, słyszeć o nich ani czuć ich zapachu.

– Ale co będzie, Braciszku, jeżeli ludzie nie zechcą zostawić cię w spokoju? – zagadnął Akela, nadstawiając jedno ucho.

– Nas jest pięciu! – warknął Szary Brat, rozglądając się po towarzyszach, po czym kłapnął głośno zębami.

– My też możemy przyłączyć się do łowów! – rzekła Bagheera i śmignęła z lekka ogonem, patrząc porozumiewawczo na Baloo. – Ale czemuż mamy sobie teraz zaprzętać głowy człowiekiem, Akelo?

– Owszem, jest powód – odpowiedział Wilk Samotnik. – Gdy rozwiesiliśmy na skale skórę tego żółtego rozbójnika, pobiegłem przebyłym już szlakiem w stronę wsi, zacierając kierunek śladów, zbaczając to w prawo, to w lewo, to wreszcie tarzając się po ziemi, by zbić ludzi z tropu, w razie gdyby zamierzali nas ścigać. Gdy już tak splątałem tor naszego biegu, że sam nie potrafiłbym go rozeznaczyć, nagle spośród drzew cichym lotem wyfrunął nietoperz Mang i zawisłszy tuż nad moją głową,

---

<sup>61</sup> *zawtórzyć* – dziś: *zawtórować*. [przypis edytorski]

oznajmił: „W wiosce ludzkiej, skąd wygnano Szczenię Ludzką, słyhać pobrzęk i gwar donośny, niby w gnieździe szerszeni!”.

– Widać, że wrzuciłem spory kamień do tego gniazda! – zaśmiał się Mowgli, który nieraz zabawiał się wrzucaniem dojrzałych owoców papawy do gniazd szerszeni, po czym, ma się rozumieć, drałował zawsze co sił w nogach w stronę najbliższego jeziora, gdzie żądliste owady nie mogły mu już nic zrobić.

– Zapytałem Manga, czy co widział. Odpowiedział mi, że Czerwone Kwiecie zakwitło u wrót wioski, a wokół niego zasiedli ludzie ze strzelbami. Otóż miałem sposobność przekonać się na własnej skórze – to mówiąc, Akela przyjrzał się zastarzałym bliznom na bokach i grzbiecie – że strzelby ludziom nie służą do zabawy. A teraz właśnie, gdy z tobą wiodę rozmowę, Braciszku, pewien człowiek szuka naszego tropu, być może nawet, że nań natrafił!

– W jakimś celu? Przecież ludzie wygnali mnie od siebie. Czegóż jeszcze im ode mnie potrzeba? – zapytał Mowgli z gniewem.

– Jesteś przecie człowiekiem, Braciszku! – odparł Akela. – Jakoż my, wolni łowcy, mamy ci tłumaczyć, co czynią twoi bracia i z jakiej przyczyny?

Ledwo starczyło mu czasu, by podnieść łapę i uchronić ją przed ostrzem noża, który przeciąwszy powietrze, zarył się głęboko w ziemię. Ruch, który wykonał był<sup>62</sup> Mowgli, uszedłby bacznosci człowieka, atoli Akela nie był człowiekiem,

---

<sup>62</sup> wykonał był – daw. czas zaprzeszyły: wykonał (wcześniej). [przypis edytorski]

lecz wilkiem; wszak nawet pies, który bardzo się już odrodził od swego pradziada, dzikiego wilka, potrafi zbudzić się z najgłębszego snu, gdy nadjeżdża wóz, i uskoczyć bez szwanku w porę przed mogącymi go stratować kołami.

– Na przyszły raz pamiętaj, że nie wolno jednym tchem mówić o mnie i o ludzkiej hałastrze! – rzekł Mowgli, chowając spokojnie nóż do pochwy.

– Fiu-u! To ci ostry kieł! – rzekł Akela, obwąchując ślad noża w ziemi. – Powiem ci jednak, Braciszku, że pozycie z ludźmi źle wpłynęło na sprawność twego wzroku. Przez ten czas, gdyś ty na mnie się zamierzał, ja bym już dawno zabił kozła!

Bagheera zerwała się na równe nogi, zadarła łeb w górę i jęła węszyć, preżąc się każdą krzywizną swego ciała. Szary Brat poszedł w lot za jej przykładem, stając nieco na lewo od niej celem lepszego rozpoznania wiatru, ciągnącego z prawej strony, jednocześnie zaś Akela pomknął pięćdziesiąt sążni pod wiatr i przypadł do ziemi, również preżąc się na całym ciełe. Mowgli patrzył na nich z zazdrością. Umiał węszyć jak mało kto z ludzi, jednakże nigdy nie udało mu się zdobyć subtelnej wrażliwości węchu, jaką odznaczają się zwierzęta dżungli; zresztą trzy miesiące pobytu w kurnej chacie wiejskiej oddziaływały nań pod tym względem nader niekorzystnie. Mimo wszystko poślinił palec, potarł nim koniec nosa i stanął prosto, by chwycić górny cuch, który choć najśłabszy, jest przecie pewniejszy.

– Człowiek! – warknął Akela, przysiadając na tylnych łapach.

– Buldeo! – dodał Mowgli, kładąc się na ziemi. – Idzie w trop

za nami... Patrz, tam słońce odbłyśło od jego strzelby!

Był to zaledwie jeden błysk mosiężnych sworzni starego towerskiego muszkietu – błysk, który trwał bodajże ćwierć sekundy, atoli<sup>63</sup> w dżungli nigdy nic nie błyska się w sposób podobny, chyba że po niebie pędzą gromowe chmury; wówczas istotnie lada okruch miki, najmniejsza kałuża wody, a nawet co gładsze liście błyskają z dala jak telegraf świetlny. Atoli ów dzień był bezchmurny i spokojny.

– Wiedziałem, że ludzie puszczą się za nami w pościg! – zawołał Akela z tryumfem. – Nie darmo byłem Hersztem Gromady!

Cztery wilczęta nie odpowiedziały nic na to, tylko na brzuchach szczołgały<sup>64</sup> się ze wzgórza i zaszyły się w gąszcz krzaków.

– Dokąd idziecie... tak bez słowa? – zahukał na nich Mowgli.

– Pst! Nim nadejdzie południe, przytaszczymy tu jego czaszkę! – odpowiedział Szary Brat.

– Wracać! – krzyknął Mowgli. – Wracać i czekać! Człowiek nie zjada ludzi!

– A któż to był przed chwilą wilkiem? Kto dobył na mnie noża za to, iżem go uważał<sup>65</sup> za człowieka? – zaśmiał się Akela,

---

<sup>63</sup> *atoli* (daw.) – jednak, jednakże; spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast. [przypis edytorski]

<sup>64</sup> *szczołgać się* – dziś: przeczołgać się. [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *iżem go uważał* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: iż go uważałem; że go uważałem. [przypis edytorski]

gdy czwórka wilcząt zawróciła z drogi, acz z wielką niechęcią, i układła się<sup>66</sup> w ordynku<sup>67</sup> obok Mowgliego.

– Czyż muszę się wam tłumaczyć z wszystkiego, co mam ochotę uczynić? – burknął Mowgli z wściekłością w głosie.

– To Człowiek! Tak przemawia Człowiek! – mruknęła Bagheera pod wąsem. – W ten właśnie sposób rozmawiali ludzie koło klatek zwierzyńca królewskiego w Udajpurze. My, starzy obywatele dżungli, wiemy, że Człowiek jest ze wszystkich istot najmądrzy... choć sądząc z tego, co słyszymy, moglibyśmy go uważać za najgłupszą istotę pod słońcem.

I podniósłszy głos, dodała:

– Tym razem Ludzkie Szczenie ma słuszość. Ludzie polują gromadnie. Zabijanie jednego, dopóki nie wiemy, co inni zamierzają uczynić, to niedobry sposób polowania. Chodźmy zobaczyć, jakie zamiary ma względem nas ten człowiek.

– Nie pójdziemy! – zawarczał Szary Brat. – Poluj w pojedynkę, Mały Bracie! My wiemy, jakie są nasze zamiary! Teraz można by w sam raz przynieść czaszkę tego nędznika!

Mowgli spoglądał kolejno to na jednego, to na drugiego ze swych przyjaciół; pierś mu falowała, a oczy napełnione były łzami. Postąpił naprzód i przyklękawszy na jedno kolano, przemówił:

– Ja również wiem, jakie są moje zamiary! Spójrzcie na mnie! Zwierzęta z nieukrywaną niechęcią posłuchały rozkazu;

---

<sup>66</sup> *układła się* – dziś: ułożyła się. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *ordynek* – porządek. [przypis edytorski]

ilekroć odwróciły głowy, Mowgli natychmiast przywoływał je ponownie i wpatrywał się w nie uporczywie, aż im się w końcu sierść zjeżyła ze strachu i poczęły drżeć na całym ciele.

– A teraz kto z nas pięciu będzie wodzem? – zapytał Mowgli.

– Ty, ty, Mały Bracie! – odrzekł Szary Brat, liżąc stopy Mowgliego.

– A więc za mną! – zakomenderował Mowgli, a cała czwórka ruszyła za nim potulnie, podkuliwszy ogony.

– To są skutki obcowania z Ludzką Gromadą! – zauważyła Bagheera, wlokąc się za nimi. – Ej, Baloo, mamy w puszczy rzecz niejedną, o jakiej się nie śniło Prawom Dżungli!

Stary Miś nie odrzekł nic, ale co myślał, to myślał...

Mowgli przedzierał się bezszelestnie przez knieję, zmierzając boczkiem ku ścieżce, którą szedł Buldeo. Niebawem, rozchyliwszy krzaki, ujrzał starego myśliwca z muszkietem na ramieniu, biegnącego truchcikiem wzdłuż śladu sprzed dwóch dni.

Przypominacie sobie zapewne, że Mowgli uciekł był od wioski, dźwigając na plecach ciężką skórę zdartą z Shere Khana, a za nim pomknął Szary Brat i Akela; ślady ich, jak łatwo zgadnąć, uwydatniały się na ziemi bardzo wyraziście. Postępując z tropu w trop, Buldeo dotarł do miejsca, gdzie – jak wiadomo – Akela, zawróciwszy z drogi, pozacierał poza sobą i poplątał wszystkie ślady. Usiadł tu stary strzelec, chrząknął, burknął coś pod nosem i jał bacznie rozglądać się na wszystkie strony, by rozplątać ową gmatwaninę – a przecie każdej chwili mógł rzutem

kamienia dosięgnąć tych, którzy nie spuszczały go z oka. Nikt nie potrafił sprawiać się tak cicho jak wilk, gdy nie chce, by go posłyszano – a Mowgli, choć wedle zdania wilków poruszał się bardzo niezgrabnie, przecie umiał przemykać się jako cień niepostrzeżenie.

Otoczyli starego wygę, jak stadko delfinów opasuje statek pędzący całą siłą pary – i gawędzili przy tym niefrasobliwie, gdyż mowa wilcza zaczyna się poniżej skali głosów uchwytnych dla niewprawnego ludzkiego ucha. Przeciwnym punktem tej skali jest gwizd nietoperza Manga, tak wysoki, że większość ludzi nie słyszy go wcale. Od tego tonu w górę rozpoczynają się wszelkie rozmowy ptaków i owadów.

– Hej, tu można się lepiej ubawić niż na polowaniu! – rzekł Szary Brat, gdy Buldeo schylał się, oglądał bacznie ślady, sapał i mruczał coś gniewnie. – Ten człowiek wygląda jak warchlak zbłąkany w kniei nad rzeką. Cóż on tak wygaduje pod nosem?

Mowgli jął tłumaczyć słowa ludzkie na język wilczy.

– On mówi, że chyba całe stado wilków hasało koło mnie... Mówi, że takiego śladu jeszcze nie widział nigdy w życiu... Mówi, że już się zmęczył...

– Wypocznie sobie, zanim natrafi na właściwy trop – rzekła chłodnym głosem Bagheera, prześlizgując się koło pnia i przyłączając się do tej gry w ciuciubabkę, w jaką zabawiały się wilczęta. – No i cóż porabia ta chuda istota?

– Połyka dym albo go wypuszcza ustami. Ludzie zawsze tak się zabawiają – odpowiedział Mowgli.

Czatownicy jęli się przyglądać strzelcowi, który tymczasem nabił fajkę tytoniem, zapalił i począł z niej pykać. Zapamiętali sobie dobrze zapach tytoniu, by w razie czego móc rozpoznać Buldea nawet w najczarniejszych mrokach nocnych.

Niebawem pojawiła się na ścieżce gromadka węglarzy. Zatrzymali się, rzecz oczywista, by pogawędzić z Buldeem, którego sława myśliwska rozbrzmiewała co najmniej na dwadzieścia mil wokoło. Usiedli i zapalili fajki, zasię Bagheera i towarzysze podeszli bliżej, by przyjrzeć się lepiej Buldeowi, który tymczasem jał opowiadać od samego początku historię o diablątku Mowglim, nie szczędząc przy tym nowych dodatków i upiększeń. Opowiedział więc, jak to w rzeczy samej on, Buldeo, zabił Shere Khana; jak Mowgli zamienił się w wilka i walczył z nim przez całe pół dnia, po czym przybrał z powrotem postać chłopca i zaczarował mu strzelbę myśliwską, tak iż kula poszła w bok i trafiła jednego z bawołów Buldeowych; jak to wreszcie mieszkańcy wioski, wiedząc, iż Buldeo jest najlepszym strzelcem w Seonee, wysłali go, by zabił owo diablątko, przy czym uwięzili jako zakładników Messuę i jej męża, którzy byli niewątpliwie rodzicami tego piekielnika. Zamknięto oboje w ich własnej chałupie i właśnie miano ich poddać męczarniom, by wymusić od nich zeznania, iż są czarownikami, po czym czekała ich śmierć na stosie.

– Kiedyż to nastąpi? – zapytali węglarze, gdyż mieli wielką ochotę być świadkami tego obrzędu.

Buldeo odpowiedział, że nic nie stanie się przed jego

powrotem, gdyż wieśniacy domagali się, by on wpierym zgładził chłopca; dopiero wtedy bowiem będą mogli rozprawić się z Messuą i jej mężem oraz podzielić między siebie ich grunty i bawoły... a wspomnieć się godzi, że mąż Messui miał niezgorsze stado bydła. Tępienie czarowników, jak mniemał Buldeo, było rzeczą chwalebną, a już chyba nie było gorszych czarowników nad tych, którzy wywołali wilka z lasu i chowali go u siebie.

– Hm! – rzekli węglarze. – Ale co to będzie, jak o tym posłyszają Anglicy? Opowiadają o nich, że te wariaty nie pozwalają porządnym ludziskom w spokoju ducha mordować czarowników.

– Eee! – lekceważąco odpowiedział Buldeo. – Jest na to sposób! Wójt pójdzie do władzy i zrobi doniesienie, że Messua i jej mąż zmarli wskutek ukąszenia żmii. Wszystko już przewidziano... pozostało tylko zabić tego wilkołaka. Widzieliście kiedy takie dziwo?

Węglarze rozejrzeli się bojaźliwie wokoło i dziękowali niebiosom, że nie spotkali się nigdy z wilkołakiem; nie mieli jednak najmniejszej wątpliwości, że jeżeli kto, to Buldeo potrafi go wytropić. Słońce już nachyliło się ku zachodowi, więc węglarze wstali, gdyż mieli ochotę pójść do wioski i obaczyć straszną czarownicę. Słyszając to, Buldeo oświadczył, że choć uważa za swą powinność zabicie diabłątka, to jednak nie może pozwolić na to, by garstka ludzi bezbronnych wędrowała bez jego osłony przez puszcę, gdzie każdej chwili może przed nimi pojawić się upiorny wilkołak; zdecydował się przeto im

towarzyszyć, a gdyby ów czarci syn zaszedł im drogę ho, ho!  
– wówczas on, Buldeo, najlepszy strzelec w Seeonee, będzie wiedział, jak sobie z nim poradzić!... Wszak otrzymał od bramina amulet zabezpieczający go najzupełniej przed mocą złych uroków.

– Co on gada?... Co on gada? – dopytywały się wilki co chwilę. Mowgli tłumaczył im słowo za słowem, póki nie doszedł do opowieści o czarownikach; ponieważ nie bardzo ją rozumiał, więc poprzestał na oznajmieniu, że ów mężczyzna i kobieta, którzy byli dla niego tak dobrzy, znajdują się w pułapce.

– Więc ludzie zastawiają pułapki i na ludzi? – zapytał Szary Brat.

– On tak opowiada. Nie mogę się w tym wszystkim połapać. Oni chyba wszyscy poszaleli... Nie wiem, co Messua i jej mąż mają wspólnego ze mną, że ich wtrącono do pułapki... i czemu to oni tyle bają o Czerwonym Kwieciu. Muszę przyjrzeć się temu osobiście. Cokolwiek zamierzają uczynić z Messuą, nie uczynią tego, póki Buldeo nie wróci. A więc...

Tu Mowgli zamyślił się głęboko, przebierając palcami po rękojeści noża. Tymczasem Buldeo i węglarze ustawili się gęsiego i różnym krokiem ruszyli w stronę wioski.

– Pójdę co żywo tam, gdzie mieszka Ludzka Gromada! – odezwał się na koniec Mowgli.

– A co będzie z nimi? – zapytał Szary Brat, patrząc łapczywym wzrokiem na brunatne plecy węglarzy.

– Zaśpiewaj im „czas do domu, czas”! – zaśmiał się Mowgli.

– Nie chciałbym, by stanęli u wrót wioski jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu. Czy potrafisz opóźnić ich przybycie?

Szary Brat pogardliwie wyszczerzył zęby.

– E, wielka mi sztuka! Potrafię wodzić ich w kółko jak uwiązane kozy! Przecie znam się na ludziach...

– Nie wymagam tego, byś tak z nimi tańczył jak wilk z kozą. Śpiewaj im tylko, ot tak troszkę, żeby im się nie cniło w drodze, ale, proszę cię, Szary Bracie, nie dobieraj nuty zbyt czulej. Ty, Bagheero, idź też z nimi i wtóruj im w tej pieśni. Gdy się ściemni zupełnie, spotkamy się przy wiosce... Szary Brat będzie wiedział, w którym miejscu...

– Ej, to prawdziwa mordega takie łowy! Łażże, bestyjo, z tropu na trop, dla jakiegoś tam Ludzkiego Szczenięcia! Kiedyż się wyśpię? – mamrotała Bagheera poziewając, ale oczy świadczyły, że jest zachwycona zabawą. – Słyszane rzeczy! Mam przyśpiewywać do marszu golasom, ludziom! Ale nie zawadzi spróbować!

Zniżyła głowę, by głos mógł popłynąć swobodnie, i długo, przeciągle zawyła hasło „Pomyślnych łowów!” – owo hasło godziny północnej, które brzmi najstraszliwiej, gdy się odezwie w porę przedwieczorną. Mowgli, pomykający chyżo przez dżungłę, śmiał się do rozpuku, słysząc za sobą owo pienie, co rozległo się pogrzmotem echa, spotężniało, potem jęło słabnąć, aż skończyło zamknięte przytłumionym skowytym. Widział, jak węglarze zbili się w gromadkę – jak lufa Buldeowego muszkietu kręciła się na wszystkie strony niby liść bananu. A oto już Szary

Brat zagrał groźną pobudkę myśliwską: Ya-la-hi! Yala-hi! – używaną w czasie polowania na antylopy, gdy wilcze stado pędzi przed sobą siwą samicę *nilghai*. Zew ten biegł kędyś z daleka, jakby z samych krańców świata, i coraz to się zniżał, zbliżał, zbliżał, zbliżał, aż zakończył się przeraźliwym wrzaskiem, urwanym z nagła, jakby zdławionym. Odpowiedziały mu trzy inne głosy – tak donośnie, że nawet sam Mogli gotów był przysiąc, że słyszy zespół całej Wilczej Gromady – a nagle wszystkie wraz zanuciły wspaniały Hejnał Dżungli, nie szczędząc wszelkich wywijasów, fanfar i ozdobników, na jakie tylko zdobyć się może przepastna gardziel stadnego wilczura. Poniżej podajemy tekst słowny owej pieśni; zamykając oczy na usterki opracowania, wyobraźcie sobie, jak straszliwie brzmieć muszą te zwrotki, gdy zakłóca popołudniową drzemkę dżungli:

Jeszcze ot przed godziną, gdyśmy szli tą równiną,  
Nie majaczył na ziemi cień mgławy;  
teraz cieniów gromada w ślad za nami się skrada,  
a my do dom wracamy z wyprawy.

W cichym rannym pomroku już widoczne są oku  
kępy krzewów, zrąb skał, drzew korony —  
więc podnieśmy wołanie: „Czas już spocząć każdemu,  
kto przestrzega Praw Dżungli zielonej!”.

Teraz nocni włóczędzy w gąszcz się kryją czym prędzej,  
nie chcąc skóry narażać i rogów;

teraz chyłkiem i milczkiem lampart z dzikiem i wilczkiem  
powracają do jam i barłogów.

Już po roli, po łęgu idą woły w zaprzęgu:  
do roboty je ludzie zaprzęgli!

Zorza – blada, nieśmiała – blaskiem krwawym już pała  
jako Kwiecie Czerwone wśród węgli.

Hej, kto żyw! W legowiska! Bo już słońce rozbłyska  
ponad trawą szumiącą i bujną!  
Przez trzciny młodych łąn gęsty ciągną szmery i chrzęsty,  
jakby straż tam odprawiał ktoś czujną.

Blask nas razi, co dnieje – a więc biegnąc przez knieję,  
mrużym ślepią, by widzieć z daleka;  
a na niebie złowieszczą dzikie kaczki gdzie wrzeszczą:  
„Dzień już nastał – czas władzy Człowieka!”.

Na ścieżynach już do cna wyschła rosa ta nocna,  
ode której grzbiet cały nam wilgnął;  
a tam, kędyśmy pili, pełno błota w tej chwili —  
i do brzegów muł przywarł i przylgnął.

Zorza, podła zdrajczyni, jawnym każdy ślad czyni,  
kędy przeszły pazury lub szpony.  
Więc słuchajcie wezwania: „Czas już spocząć każdemu,  
kto przestrzega Praw Dżungli zielonej!”.

Jednakowoż żaden przykład nie jest mocen oddać wrażenia,

jakie pieśń ta wywiera, ani też przeraźliwie brzmiące nuty szyderstwa, jaką czwórka wilków przesycala każde słowo, słysząc, jak gałęzie drzew trzeszczały pod ciężarem wdrapujących się na nie ludzi i jak Buldeo mruczał coraz to inne modły i zaklęcia. Odśpiewawszy pieśń całą, wilczki pokładły się i zasnęły, albowiem – na równi z wszystkimi istotami żyjącymi własnym przemysłem – miały usposobienie bardzo pedantyczne i wiedziały, że nie pracuje dobrze, kto się dobrze nie wyśpi.

Tymczasem Mowgli mknął przed siebie z szybkością dziewięciu mil na godzinę, radując się, iż po tylu miesiącach gnuśnego życia pomiędzy ludźmi nie utracił przecież gibkości i zwinności ciała. W głowie tętniła mu jedyna myśl – by wyswobodzić z pułapki Messuę i jej męża; do wszelkich bowiem pułapek, jakiegokolwiek by one były, czuł zawsze wielką niechęć i nieufność. Poza tym obiecywał sobie, że zacznie spłacać zawiązką wszystkie długi, jakie zaciągnął wobec mieszkańców wioski.

Już się zmierzchało, gdy zobaczył pamiętne pastwiska oraz drzewo *dhak*, gdzie oczekiwał go Szary Brat w ów rano, kiedy urządzono obławę na Shere Khana. Pomimo całej zawziętości, jaką Mowgli żywił do społeczności ludzkiej, coś zaczęło dusić go w gardle, gdy spozierał na dachy wioski. Zauważył, że wieśniacy wrócili z pól niezwykle wcześniej i zamiast wziąć się do wieczery, zgromadzili się tłumnie pod figowcem i wiedli z sobą ożywioną rozmowę, często gęsto przerywaną krzykami.

„Ludzie wciąż muszą na siebie wzajem zastawiać pułapki –

mówił w duchu Mowgli. – Bez tego żyć nie mogą. Dwie noce temu zastawili ją na Mowglięgo... choć wydaje się, jakoby już wiele pór deszczowych minęło od tego czasu. W dzisiejszą zaś noc podobny los ma spotkać Messuę i jej męża. Jutro... a może w jedną z nocy późniejszych... przyjdzie znów kolej na Mowglięgo”.

Jął<sup>68</sup> skradać się wzdłuż wału, póki nie doszedł do znajomej sobie chaty. Zajrzawszy przez okno w głąb izby, obaczył Messuę. Leżała na ziemi, mając pęta na rękach i nogach, a w ustach knebel; nie mogąc krzyczeć, jęczała i dyszała ciężko. Mąż jej był przywiązany do jaskrawo malowanego łoża. Drzwi chałupy, wychodzące na ulicę, były na moc zamknięte, tuż zaś siedziało kilku mężczyzn, opierając się o nie plecami.

Mowgli znał doskonale obyczaje i nałogi wieśniaków. Miał nieraz sposobność przekonać się, że póki jedzą, gawędzą i palą fajki, póty są nieszkodliwi; ale gdy się najedzą, to już nie pokazują się im na oczy! Lada chwila mógł powrócić Buldeo, a jeżeli wilczki wywiążą się należycie ze swego zadania, to stary łgarz będzie miał wątek do nader zajmującego opowiadania! Wziąwszy to wszystko pod uwagę, Mowgli przelaź szybko przez okno, pochylił się nad więźniami, przeciął im więzy, wyjął z ust knebel i rozejrzał się po izbie, by znaleźć choć odrobinę mleka.

Messua, którą bito i kamienowano przez dzień cały, była bliska szaleństwa, przeto Mowgli w samą porę zatkał jej usta dłonią, by zapobiec krzykom. Jej mąż, choć gniewny i

---

<sup>68</sup> *jąć* – zacząć. [przypis edytorski]

oszołomiony, usiadł spokojnie i zaczął wygarniać kurz i śmieci z rozwichrzonej brody.

– Wiedziałam... wiedziałam, że on przyjdzie! – zaszlochala Messua. – Teraz już wiem na pewno, że to mój syneczek!

To rzekłszy, chwyciła Mowglię i przycisnęła go do serca.

Do tej chwili Mowgli doskonale panował nad sobą, teraz jednak – ku niezmiernemu swemu zdziwieniu – zaczął drżeć na całym ciele.

– Do czego służą te pęta? Czemu was związano? – zapytał po chwili milczenia.

– A czemuż by, jak nie dlatego, żeśmy cię przyjęli za syna – odrzekł posepnie mężczyzna. – Skazano nas za to na śmierć. Patrz! I ze mnie krew ciecze.

Messua nic nie mówiła, ale Mowgli przyjrzał się uważnie jej ranom... i słychać było, jak zgrzytał zębami na widok krwi płynącej.

– Czyja to sprawka? – zapytał. – Trzeba będzie za to komuś zapłacić.

– To robota całej wsi. Byłem zbyt bogaty... miałem za wiele bydła... Przeto uznano nas za czarowników, żeśmy cię przytulili w chałupie.

– Nic z tego nie rozumiem. Niech Messua opowie wszystko, jak było.

– Przecież ci dałam mleka... czy sobie przypominasz, Nathoo? – odpowiedziała Messua bojaźliwym głosem. – Boś ty był moim syneczkiem zabranym mi przez tygrysa i jam cię

kochała tak gorąco. A oni powiadają, że ja, twoja matka, jestem matką diabła, a więc zasługuję na śmierć.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.